Nr. 18 (64) CENA 25 GR. ROK II

S[illegible]R
TY[illegible]WSKI
DLA SP[illegible] KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
LUDWIKA ZAMENHOFA 13
tel. 11-14-08
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji i Administracji 11 — 14.

Rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

22 maja 1938 WARSZAWA 21 ijar 5698

OUTSIDER

MOWA MUSSOLINIEGO W GENUI
POKRZYŻOWAŁA PLANY CHAMBERLAINA

POLITYKA POKOJU.

W przedziale wagonu kolejowego znaleźli się Włoch, Niemiec i Anglik, którzy dla milszego spędzenia czasu grali w karty. Kontroler zauważył hazardową grę, wszedł do przedziału i miał ochotę wymierzyć grzywnę. Ale karty zostały już prędko ukryte: Włoch i Niemiec uroczyście oświadczyli, że w karty nie grali, — konduktor zwrócił się z kolei z zapytaniem do Anglika: A czy pan również przysięgnie, żeście nie grali w karty? — Na to odrzekł Anglik: „Skoro moi dwaj towarzysze podróży przysięgają, że nie grali — z kimże mógłbym ja grać?"

Skoro Niemcy hitlerowskie zapewniają wszem wobec, że polityka ich nacechowana jest umiłowaniem pokoju, skoro znany pacyfista Duce swe ostatnie przemówienie zakończył zapewnieniem, że „Niemcy **n i e m n i e j** jak Włochy pragną pokoju europejskiego" — cóż więc pozostaje przezacnemu lordowi Halifaxowi, jak stwierdzenie: „Jeśli wódz wszystkich Germanów, jako też wódz Imperium Włoskiego są tak zagorzałymi pacyfistami, któż ośmieli się twierdzić, że ja prowadzę politykę wojny?"

To też „gra w pokój" przeszła szereg nowych etapów. Rozpoczęło się od dymisji p. Antoniego Edena po przemówieniu kanclerza Hitlera, który zaatakował ostro kierownika angielskiej polityki zagranicznej. Włochy i Niemcy wyraziły delkatnie żądanie dymisji ministra spraw zagranicznych Anglii. Eden ustąpił.

Następnie Włochy wypowiedziały swe życzenie, by Imperium Włoskie zostało uznane przez Anglię, Francję i szereg innych państw. Liga Narodów, pod dyktando lorda Halifaxa dała państwom wolną rękę dla uznania królestwa i cesarstwa włoskiego.

Następnie kanclerz Hitler wyraził najszczersze życzenie „zlikwidowania sprawy Sudetów". Wnet zaproszono do Londynu przewódcę hitlerowców w Czechosłowacji, Henleina, i jak donosi PAT: „Jeśli wizyta Henleina w Londynie przyczyniłaby się do złagodzenia oporu opozycji brytyjskiej wobec Niemiec, to ułatwiłaby ona premierowi Chamberlainowi uzyskanie w społeczeństwie angielskim większego poparcia dla swych planów." Henlein, poparty przez Chamberlaina domaga się autonomii oraz zerwania aliansu czesko - sowieckiego.

W końcu, wygłaszając swe ostatnie przemówienie w Genui sformułował Il Duce wyraźne żądanie pod adresem Francji: Francja powinna wyrzec się wszelkiej łączności z Hiszpanią republikańską, po to, by ułatwić urzeczywistnienie planów włosko - niemieckich na półwyspe pirenejskm. A jak wiadomo, zamierzenia interwencji włosko-niemieckiej są wybitnie pacyfistyczne...

TEN CZWARTY

Twierdzono tu i ówdzie, że Chamberlain zdoła umożliwieniem Anschlussu rozsadzić od wewnątrz oś Berlin — Rzym. Po wizycie kanclerza Hitlera w Rzymie jasnym jest, że Anschluss nie zdołał w chwili obecnej zaważyć na spoistości współpracy dwóch mocarstw „dynamicznych". Wielokrotnie przytaczaliśmy głosy, iż zbieżności włosko - niemieckie górują i czas dług będą jeszcze górować nad rozbieżnościami między Berlinem a Rzymem. Minister Hess, udzielając w Rzymie wywiadu redaktorowi „Popolo d'Italia" stwierdził: „Sobotnie oświaczenia pogrzebały ostatnią nadzieję na to, że faszyzm i narodowy socjalizm dadzą się oddzielić od siebie i poróżnić między sobą.". Zaś Mussolini w swym przemówieniu w Genui jasno i dobitnie sprecyzował:

„to co w polityce i dyplomacji nosiło ogólne miano „Stresa" — umarło, zostało pogrzebane i, jeśli chodzi o nas, nigdy nie zostanie wskrzeszone."

Jeśli o rozbiciu osi nie może być mowy, to zarazem należy zdać sobie sprawę z faktu, iż obecna polityka rządu angielskiego jest faktycznie nader dogodna dla osi. Na wszystkich kolejno wymienionych odcinkach rząd sir Newilla dostosowuje się do życzeń osi. Abisynia czy Hiszpania, Czechosłowacja i Liga Narodów, sprawy Europy Centralnej i Wschodniej — wszędzie mamy powtórzenie dawno słyszanych haseł. A jeśli w toku toczących się pertraktacyj włosko - francuskich Mussolini zdobywa się na bezprzykładny ton wobec sojuszniczki Anglii — Francji —, stało się to zapewne wskutek tego, iż za plecami czuje prócz Berlina obecnych panów z Foreighn Office.

Jakie są przyczyny, jakimi przesłankami kieruje się sir Newille wraz ze swą ekipą, spiesząc w objęcia dwóch totalnych wodzów? Bez wątpienia odegrały tu rolę interesy pewnych grup gospodarczych City, zainteresowanych w Hiszpanii, w Abisynii, w samych Włoszech. Bez wątpenia wpływ na podobną politykę ma zainteresowanie tychże grup sytuacją na Dalekim Wschodzie i dążenie do zostawienia sobie wolnych rąk. Chodzi też o zyskanie na czasie dla uzupełnienia zbrojeń.

Ale u podstaw polityki Chamberlaina, mimo zapewnień, iż interesuje się żywo wszystkim, co się dzieje na lądzie europejskim leży stara, izolacjonistyczna koncepcja: uczynić Anglię arbitrem, przyglądającym się spokojnie wojnie innych państw. Jeśli już ma być wojna — rozumują ludzie z ekipy obecnego premiera Anglii — to należy ją z góry zlokalizować, tak jak uczyniliśmy podczas wojny w Mandżurii, w Abisynii i w Hiszpanii. Należy Anglię uzbroić od stóp do głowy tylko po to, by mogła wkroczyć w chwili, gdy będzie mogła najwięcej zyskać.

Zlokalizować wojnę, która ma wybuchnąć w Europie Środkowej i Wschodniej, zlikwidować czym prędzej ognisko wojny między Czechosłowacją a Niemcami. Czechosłowacja może wciągnąć w wir wojny Francję, a po tym Anglię. Trzeba więc jak najprędzej przeciąć więzy, łączące te ogniwa. Trzeba więc **z m u s i ć** Francję do zaniechania obecnego systemu sojuszów. Jeśli uda się „skłonić" Czechów do zerwania układu z Sowietami i do zawarcia układu z Niemcami — udział Francji, jako czwartej ręki do brydża będzie zapewniony.

Oto w krótkich słowach istota polityki chamberlainowskiej.

PERSPEKTYWY

„Gott strafe England" wołali nie tak dawno jeszcze Niemcy, w przeświadczeniu, iż w ręku Anglii znajduje się klucz sytuacji. Słowa Niemców powtórzy, być może, Europa, terytorium której zamienione zostanie w teatr wojenny z powodu egoistycznej polityki Anglii.

Jeśli...

Jeśli Chamberlainowi uda się pokonać i przekonać opozycję w swym kraju. Ostatnie wybory uzupełniające przyniosły wszędzie klęskę kierownikom obecnego rządu. Z głosów prasy angielskiej wynika, iż trudności obecnego rządu miast maleć — wzrastają. Nie usunęła ich także ostatnia rekonstrukcja gabinetu angielskego.

Ani Stany Zjednoczone, ani Sowiety nie szczędzą wysiłków by kłaść kłody u nóg obecnych kierowników angielskiej polityki zagranicznej. Ale i we Francji opozycja przeciw planom rozbiorczym Czechosłowacji ujawniła się także na skrajnej prawicy. Tardieu w ostry sposób skrytykował rzeczników oddania Czechosłowacji na łup Trzeciej Rzeszy. Ostre przemówienie Mussoliniego przeciw Francji świadczy o tym, że kraj ten nie pozwoli sprowadzić siebie do drugorzędnej roli w Europie

Krótka pauza w walce sił wewnętrznych we Francji ma się ku końcowi. Jesteśmy w przede dniu ofensywy demokracji we Francji i w Anglii, ofensywy, która może obecne tendencje Chamberlaina przekreślić.

Dr. H. ROSENKRANZ
(Jerozolima)

Państwo kolonizuje — naród kolonizuje

I

Czterdzieści kilometrów na południowy wschód od **R z y m u** przeszło 2000 lat rozciągały się Bagna Pontyjskie, zaniedbany obszar który przemienił się w olbrzymi teren miazmatów, ponieważ wody jego były pozbawione naturalnych odpływów. Pisarze starożytni opisywali Bagna Pontyjskie, słynna Via Appia przechodziła przez nie, Cezar i cesarz August próbowali je osuszyć, aby uwolnić Rzym od malarii, osiemnastu papieży — wśród nich wielki Grzegorz — skierowali swoją ambicję oraz polityczne i finansowe możliwości w stronę usunięcia od bram Rzymu tego źródła zarazy.

II

Przed dziewięćdziesięciu laty, w r. 1848, rozpoczęła się walka o zjednoczenie Włoch. W r. 1861, z wyjątkiem Rzymu i Wenecji kraj był zjednoczony, w r. 1870 upadła też świecka władza papieża. W r. 1861, gdy Teodor Herzl liczył 1 rok życia, zasada nacjonalizmu włoskiego znajdowała się już w pełni rozwoju. W tym czasie nie mogło być nawet mowy o realnym odrodzeniu narodu żydowskiego w Palestynie. A mimo to, dopiero w naszych czasach, dopiero w ostatnich latach poważnie, zajęto się wysuszeniem Bagien Pontyjskich. Pracę tę rozpoczęto w r. 1899, ciągnęła się ona powoli; postępy jej były mikroskopijnie małe. Dopiero w r. 1918 opracowano szerokie plany, dopiero reżym faszystowski przystąpił na wielką skalę do wykonania tej pracy. Dzisiaj, relatywnie, posunęła się ona poważnie naprzód.

III

„Encyclopedia Italiana", na stronach, poświęconych temu „wielkiemu czynowi faszyzmu", zawiera m. in. dwa obrazy. Jeden przedstawia chatę położoną wśród bagien, w której dogorywali w czasie „Risorgimento" — włoskiej walki wyzwoleńczej, wypędzeni carbonariusze. Drugi obraz przedstawia wieżę wodną, jako symbol wysuszonego i skolonizowanego obszaru.

Analogie są bliskie i warto je przeprowadzić. Przecież wieża wodna jest także symbolem nowych kolonii i odrodzonej ziemi we wszystkich punktach kolonizacji żydowskiej. W tym samym r. 1918, w którym rząd włoski wysunął projekt osuszenia Bagien Pontyjskich, Artur Ruppin opracował program kolonizacji narodowej w Palestynie. Rząd włoski zamierzał osiedlić na wysuszonych bagnach 40,000 do 50,000 ludzi. Dotąd osiedlono ledwo połowę tej liczby. Na samych zaś gruntach K. K. L. żyje dziś 47,000 ludzi. Ludzi tych osiedlono nie przy pomocy władczego rozkazu reżymu i nie dzięki pomocy rządu, ale własnymi siłami i własną, spontaniczną, samodzielnie los swój kształtującą, wolą.

IV

Zgodnie z ostatnimi sprawozdaniami, dostępnymi dla autora, rząd włoski do końca 1935 r. wysuszył ogółem 41,600 hektarów, t. j. 416,000 dunamów. W tym samym okresie tylko w Emek Izrael K. K. L. osuszył i uprawił 159,915 dunamów. A przecież dochodzą do tego uprawione i kultywowane grunta K.K.L. w Judei, Saronie, Szomronie, dolinie jordańskiej, Galilei i Zatoce Hajfskej. W samym Wadi-Chawarit (Emek Chefer) osuszono z bagien przeszło 30.000 dun., a w Zatoce Hajfskiej obszar nie mniejszy. Cały obszar osuszonej z bagien, oczyszczonej z kamieni, nawodnionej, zalesionej i zabudowanej ziemi K. K. L. obejmuje dziś 387.625 dunamów, a więc tylko o 29.000 dun. mniej od tego, co przedstawia wspaniałe dzieło Bagien Pontyjskich.

V

Ale na dokonanie tego dzieła osuszenia 416,000 dunamów i osiedlenia coś ponad 20,000 ludzi rząd włoski wydał 197 milionów lir. A przecież rząd ten nie musiał, jak my, kupować tej ziemi. 197 milionów lir, to około 3,6 milionów funtów szt.

W rezultacie: na osiedlenie obszaru ziemi K. K. L., prawie tak wielkiego, jak dotąd osuszone części Bagien Pontyjskich, prawie dwukrotną liczbą osiedleńców na Bagnach Pontyjskich — prywatna Organizacja Syjonistycza, Jewish Agency i oba narodowe fundusze rozporządzały nie wiele większą sumą od tej, którą wydał potężny rząd włoski. Wobec 3,6 milionów rządu włoskiego mamy okrągło 5 milionów, zebranych dotąd przez K. K. L. Ale z tych 5 milionów musiano około 3 milionów przeznaczyć na zakup ziemi, podczas gdy Bagna Pontyjske przeważnie stanowiły własność państwa, a części prywatne wywłaszczono za minimalnym odszkodowaniem. Odszkodowania polegały częściowo na ponownym osiedleniu posiadaczy po dokonaniu osuszenia, stanowiły więc, jak u nas, część produktywnych kosztów produkcyjnych. Odszkodowania pieniężne, jeśli w ogóle je wypłacono, były tak minimalne, że całkowicie mogą być wyrówane przez nasze specjalne wydatki, n. p. na bezpieczeństwo.

Saldo jest więc takie: my — po odliczeniu kosztów nabycia ziemi, których we Włoszech nie miano — dysponowaliśmy okrągło 2 miliony K. K. L. oraz okrągło 2,1 milionów inwestowanych przez Keren Hajesod w kolonizacji rolniczej. A więc 4,1 milionów wobec 3,6 milonów; prawie te same wydatki na osiedlenie podwójnej liczby ludzi!

VI.

Nad Italią przeszły okresy, w których rządy dysponowały niebywałą władzą, czasy gospodarki niewolniczej, epoka cesarska, papieska i feudalna — ale bagna pod bramami Rzymu nie zostały osuszone. Czterdziestomilionowy naród włoski, swobodnie kolonizujący we własnym kraju, potrzebował prawie stulecia po politycznym zjednoczeniu, aby chwalić się osuszeniem tych 416,000 dunamów, jako wielkim czynem swojego rządu. Natomiast naród szesnastomilionowy, bezsilny i rozproszony po świecie, którego wpływowe warstwy mało się do niego przyznają, naród, który nie rozporządza władzą rządu i potęgą ustaw, prawem pobierania podatków i powoływania do pracy — osuszył i skolonizował w kraju bardziej zaniedbanym, prawie za te same pieniądze prawie ten sam obszar ziemi, ale **osiedlił na nim dwa razy więcej ludzi niż Włosi.**

Jaka dysproporcja środków i osiągnięć, jak wielka różnica pomiędzy potężnym aparatem rządu a organizacją Keren Kajemet Leisrael.

Ale, jak bez porównania większe są zadania, stojące przed słabszym, przed KKL. Przecież we Włoszech chodzi o kilkadziesiąt tysięcy członków wielkiego, bezpiecznie żyjącego narodu. KKL natomiast ma za zadanie dostarczyć ziemi społeczności prześladowanych: dostarczyć całemu narodowi powietrza do oddychania, światła dla widzenia, przestrzeni do życia. Toteż nie ma takiej ofiary, któraby była dostatecznie wielka dla KKL — i nic nie dorówna temu dobrowolnemu podatkowi, który naród nasz opłaca w imię dokonania tego wielkiego dzieła.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Jubileusz premiera Składkowskiego

Pan premier gen. Sławoj-Składkowski obchodził właśnie pewnego rodzaju jubilesz dwulecia swych rządów. Jubileusz ten był zarazem rekoredm: na przestrzeni 20 lat Niepodległości rząd Składkowskiego jest tym, który z dotychczasowych pozostawał najdłużej u steru władzy. Albowiem premier Składkowski dłużej rządził bez przerwy niż



każdy inny z polskich premierów nawet w ciągu kilku kadencji. Gen. Felicjan Składkowski był więc dłużej premierem od Wincentego Witosa i Władysława Grabskiego, a także od premierów pomajowych: Marszałka Piłsudskiego, prof. Bartla czy płk. Prystora. Tak się już bowiem w polityce polskiej układało, (zarówno przed, jak i po przewrocie majowym), że rządy były na ogół krótkotrwałe, a już zupełnie nieznane były nam precedensy niektórych państw obcych, gdzie rządy pozostawały u władzy na przestrzeni całych lat. Ale nawet niezależnie od porównania z dotychczasowymi stosunkami w Polsce, trzeba stwierdzić, że gen. Składkowski rządził długo: dwa lata na przestrzeni dziewiętnastu i pół — to przecież z górą jedna dziesiąta okresu odkąd Polska jest niepodległa.

Najdłuższy rząd nie był jednak zarazem rządem najpopularniejszym, mimo czysto indywidualnej popularności Pana Premiera, którą zawdzięcza swej bezpośredniości, ruchliwości i osobistej sympatyczności. że wśród opozycji rząd ten, stojący jak dotąd bez zmian na gruncie systemu i jego praktyki politycznej, nie był popularny — jest rzeczą zrozumiałą. Ale także w szeregach obozu rządzącego zarzucano rządowi Składkowskiego brak programu, jednolitości działania, a nawet skrystalizowanego oblicza politycznego.

Krytycy z szeregów obozu rządzącego nie są jednak sprawiedliwi wobec gabinetu gen. Składkowskiego. Przecież właśnie rząd ten jak może żaden z dotychczasowych jest najwierniejszą emanacją „sanacji", i to zarówno pod względem składu osobistego (Poniatowski i Grabowski, Kościałkowski i Beck), jak i jej bezprogramowości i niejednolitości. Zadaniem rządu nie może być tworzenie ideologii i programów — ale ich wykonywanie. Skoro obóz rządzący nie potrafił dotąd stworzyć własnego programu, niech nie zrzuca odpowiedzialności za to na barki rządu.

Gen. Składkowski przyszedł do władzy w okresie głębokiego kryzysu ideowego i organizacyjnego obozu pomajowego, a zadaniem jego miało być przetrwanie na posterunku w tych trudnych chwilach. Był więc rząd Składkowskiego już w maju 1936 r. gabinetem o charakterze tymczasowym, takim też po dzień dzisiejszy pozostał. że okres tymczasowości przedłuża się ponad miarę, że wciąż odkłada się posunięcia któreby zdolne były wyprowadzić Polskę z wewnętrznego impasu — za to p. generał Składkowski jest może osobiście najmniej odpowiedzialny.

„Komandarm" Kutuzow

Feldmarszałek cara Aleksandra I, generalissimus rosyjski w okresie wyprawy Napoleona na Moskwę, Kutuzow, awansował 125 lat po śmierci do roli „bohatera narodowego Związku Sowieckiego", a bodaj czy nie do rangi proletariacko - krasnoarmiejskiego „komandora". Przyzwyczajeni już zostaliśmy do wszelakiego rodzaju ekstrawagancji taktyczno-propagandowych, stosowanych i jak w kalejdoskopie zmienianych w Rosji Stalina, ale pomysł z „socjalizacją" Kutuzowa musiał już być wyjątkowo trudny do urzeczywistnienia.

Bo przecież na rolę dziejową i osobiste intencje Napoleona Bonaparte można mieć różne poglądy, ale nie ulega watpliwości, że w Europie początku XIX w. był on rzecznikiem idei postępowych, odziedziczonych po wielkiej Rewolucji Francuskiej, a przeciwnicy jego stali na straży zgniłego, reakcyjnego „ancien regime'u". Trudno więc byłoby dziś wykazać, że Kutuzow, broniąc dzielnie Rosji Romanowych, tego najciemniejszego i najbardziej zacofanego zakątka Europy, przeciw cesarzowi Francuzów, przysłużył się właśnie... sprawie postępu i związanej z nim przyszłej rewolucji socjalistycznej.

Może tylko pod jednym względem udałoby się „zaktualizować" Kutuzowa dla aktualnych potrzeb polityki sowieckiejj Kutuzow bronił Rosji przed obcą interwencją zbrojną! Otóż groźba obcej, kapitalistycznej interwencji przeciw Sowietom stanowi od lat doniosły czynnik wewnętrznej i zewnętrznej propagandy bolszewickiej

Niezależnie zaś od tych zasadniczych momentów, totalizm sowiecki, podobnie jak totalizmy typu faszystowskiego i hitlerowskiego, lubuje się w częstych paradach, obchodach i uroczystościach. Kiedy więc nie stało już własnych bohaterów sowieckich, sięgnięto do dawnych czasów, by kanonizować carskiego feldmarszałka na „geroja S. S. S. R.

Stanisław Mikołajczyk

W „P o l i t y c e ukazał się bardzo obszerny wywiad z wice-prezesem Stronnictwa Ludowego, b. posłem St. Mikołajczykiem. Wywiad poprzedzono charakterystyką młodego, a bardzo obiecującego przywódcy ludowego. dotąd mało znanego żydowskiej publiczności czytającej:

„Stanisław Mikołajczyk nie jest „po fachu" nauczycielem ludowym, który przeszedł na zawodowe politykierstwo i odgrywa rolę profektora wsi, nie jest również „niedokończonym" inteligentem, który zamiast porządnie studiować, wolał zabawiać się w posłowanie, — jest natomiast typowym przedstawicielem wielkopolskiej wsi. Syn drobnego rolnika, sam obecnie właściciel drobnego gospodarstwa, przeszedł bodajże po wszystkich szczeblach kariery otwierającej się w Wielkopolsce przed zdolnym synem wsi.

Szkołę rolniczą ukończył w Swarzędzu. Uniwersytet Ludowy w Dalkach, od 20 roku życia współpracuje na terenie kółek rolniczych, w Wielkopolskim Związku Młodzieży Wiejskiej, skupiającym młodzież „Stronnictwa Ludowego". Równolegle z tymi pracami idzie robota polityczna w Stronnictwie Ludowym, z ramienia którego piastował mandat poselski. Dziś Stanisław Mikołajczyk liczy 37 lat, ma na terenie organizacji rolniczych mocną pozycję, bo jest prezesem Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych, organizacji mającej duże wpływy w terenie, — jest wreszcie wiceprezesem Stronnictwa Ludowego. Mir jakim się cieszy, sięga daleko poza ramy organizacyjne Stronnictwa. Wypływa to niewątpliwie z faktu, że potrafi on zawsze w pracy organizacyjno - rolniczej, czy samorządowej odróżniać momenty zawodowo-gospodarcze od politycznych. Mikołajczyk umie współpracować z ludźmi o innych przekonaniach politycznych; tam gdzie chodzi o dobro ogółu nie wysuwa nigdy osobistych interesów partyjnych. Nic dziwnego, — Mikołajczyk zrośnięty jest mocno z glebą wielkopolską, zrośnięty jest także z klimatem wielkopolskim. Tu właśnie nauczono się społem w jednej organizacji pracować nad podniesieniem gospodarczym wsi.

Mikołajczyk na stanowisku prezesa Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych jest jednym z następców „króla chłopów" wielkopolskich, ś. p. Patrona Jackowskiego, na terenie Stronnictwa Ludowego pozycję równie mocną i jeśli już nie za następcę — to za zastępcę Witosa może być uważany. Toć przecież na ostatnim kongresie Stronnictwa Ludowego mógł objąć prezesurę po marsz. Rataju, który z powodu złego stanu zdrowia chciał ustąpić.

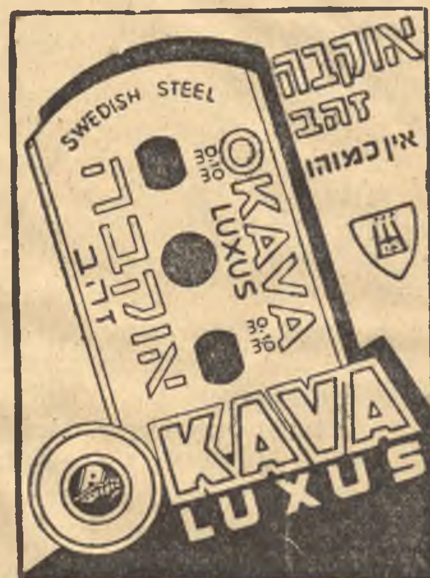
37-letni Mikołajczyk ma dotychczas dobrze zapisany „stan służby", jego karta ma jednakże jeszcze wiele białego miejsca, które najbliższa przyszłość wypełni."

Na pytanie o stosunku Stronnictwa Ludowego do P. P. S. i Stronnictwa Pracy — p. Mikołajczyk odpowiedział:

„Jesteśmy przychylnie ustosunkowani do wszyskich, jak mówi uchwała kongresu stronnictw i organizacji społecznych i zawodowych", które stają na gruncie demokracji i dążą do zmiany stosunków w kraju. Gotowi jesteśmy z każdym na wyżej wymienionych warunkach współpracować, — przy czym wyraźnie podkreślam: TA WSPÓŁPRACA NIE MOŻE W ŻADNYM WYPADKU ZACIĄŻYĆ NA NASZEJ SAMODZIELNOŚCI I OBLICZU IDEOWYM."

Na temat t. zw. „zjednoczenia" słusznie stwierdza p. Mikołajczyk, że przyniosło ono raczej większe rozbicie u tych, którzy je rzucili. Wieś nie wierzy w szczerość hasła „zjednoczenia" u tych, którzy egzystencję swą opierali raczej na dzieleniu społeczeństwa. Droga do prawdziwego zjednoczenia jest inna:

„Właśnie zmianę ordynacji wyborczej do samorządu i ciał parlamentarnych miałem na myśli, mówiąc o prawie uczciwego wypowiedzenia się narodu. Szczegół taki czy inny ordynacji nie jest rzeczą ważną, — jeśli się szczerze postawi kwestię współudziału narodu. Właściwe załatwienie tej



sprawy wprząga masę energii chłopskiej w pracę nad potęgą Państwa. Jest to sprawa paląca."

Dużo miejsca w wywiadzie poświęcono sprawom gospodarczym i socjalnym wsi. P. Mikołajczyk jest w sprawach socjalnych umiarkowany; wypowiada się za małymi gospodarstwami rolnymi, a przeciw procesowi proletaryzacj wsi. O kwestii żydowskiej w wywadzie nie było mowy.

Dr. Jakub Wygodzki

Sędziwy przywódca żydostwa wileńskiego, b. poseł J a k u b W y g o d z k i, obchodzi jubileusz swej bogatej i ofiarnej działalności społecznej.

Na przestrzeni pięćdziesięciolecia nie było dziedziny żydowskiej pracy społecznej, obcej dr Wygodzkiemu. Sędziwy Jubilat nie ograniczał się bowiem do pracy syjonistycznej i czysto politycznej, ale wiele energii, wysiłków i zdrowia poświęcał codziennym sprawom i troskom mas żydowskich. Potrafił harmonijnie połączyć pomoc doraźną z szeroko zakrojoną akcją polityczną, żydowską pomoc socjalną z żydowską działalnością parlamentarną.

Dwukrotnie był obrany posłem na Sejm z listy Bloku Mniejszości Narodowych, reprezentując w parlamencie żydostwo wileńszczyzny w latach 1922-1930. W r. 1928, na początku kadencji III Sejmu, w okresie walki pomiędzy kierunkiem Grünbauma a b. p. dr Reicha — poseł Wygodzki piastował tytułem starszeństwa godność Prezesa Koła żydowskiego. O działalności żydowskiej w II Sejmie napisał w języku żydowskim ogromnie ciekawą książkę, posiadającą zabarwienie pamiętnikarskie, p. t. „Sambation".

Sędziwemu, a jakże młodzieńczemu swym iście żydowskim optymizmem. Jubilatowi wyrażamy nasz głęboki szacunek i szczere uznanie.

Delegacja palestyńska

Do Polski przybyła delegacja palestyńska w osobach przywódcy robotniczego A b r a h a m a H a r c f e l d a, kolonisty S z a m i r a i działacza mizrachistycznego, S z r a g a i. Zadaniem delegacji jest przeprowadzenie wśród żydostwa polskiego wielkiej akcji zbiórkowej pod hasłem wyzwolenia ziemi w Górnej Galilei. Pisaliśmy już, że akcja ta, oprócz zwykłej doniosłości powiększania żydowskiego stanu posiadania w dziedzinie rolnictwa palestyńskiego, posiada szczególne, aktualne znaczenie polityczne. Powtarzamy to teraz z całym naciskiem: Górna Galilea leży w najbardziej na północ wysuniętej części Palestyny — od naszego stanu posiadania w tej prowincji zależeć będą północne granice naszego przyszłego państwa, których projekty są właśnie rozważane przez brytyjską Komisję Podziału. Musimy o tym dobrze pamiętać!

Delegacja palestyńska zetknęła się z reprezentantami prasy żydowskiej na konferencji prasowej, urządzonej przez Centralę Keren Kajemet Leisrael w Polsce.

E. MADANES

— P r a g a —

Czechosłowacja walczy ze swastyką

Losy Pragi rozstrzygnęły się nad Tamizą, mimo, że całość problemu środkowo - europejskiego i zagadnienie niemeckiego Drang nach Osten swego rozwiązania jeszcze nie znalazły. Stolica nadwełtawska odetchnęła z ulgą, gdyż rozmowy londyńskie oznaczają zasadniczy zwrot w polityce brytyjskiej w stosunku do zagadnienia środkowej Europy. Anglia zawsze uparcie utrzymywała, że granice jej znajdują się nad Renem, gdy Francja i opozycja angielska starały się przekonać opinię publiczną, że europejskie rubieże Imperium Brytyjskiego znajdują się nad Dunajem. Pierwszy raz cała Anglia i to koła najbardziej konserwatywne, sprzyjające dotąd III Rzeszy oświadczyły „Jesteśmy zainteresowani w pokojowym rozwiązaniu zagadnień wewnętrznych Czechosłowacji, gdyż Imperium Brytyjskie jest żywotnie zainteresowane w utrzymaniu pokoju. W Europie środkowej może dojść do wojny, a nasz związek wojskowy z Francją mógłby nas łatwo wciągnąć w burzę wojenną w przypadku napadu niemieckiego na Czechosłowację. Uczynimy tedy wszystko co możliwe, by doprowadzić do zgody między Berlinem a Pragą." Po przemowie karlsbadzkiej Henleina jasnym się dla wszystkich stało, że nie chodzi Berlinowi bynajmniej o losy Niemców Sudeckich, lecz o drugi punkt deklaracji Henleina tyczący się polityki zagranicznej Czech. Downing-street zaskoczona jednak wystąpieniem Henleina, odrzucającego maskę „oswobodziciela" i otwarcie przyznającego się do hitleryzmu, czego podczas swego referatu w Royal Socety uparcie się wypierał, dała należytą odpowiedź agentowi hitlerowskiemu i jego protektorom, grupującym się wokół lady Astor z Cleveden-Set. Hitler się tedy pospieszył, oświadczając: „Nie wider Krieg..." Henlein zbyt szybko odkrył karty, które jasno ukazały światu rzeczywiste oblicze problemu sudeckiego.

Jako ilustracja rzeczywistego stanu w Sudetach posłużyć nam może święto Pierwszego Maja, które miało być rewią faszyzmu i sił jego przeciwników. Obawiano się, że dzień ten ukaże w całej pełni niepodzielność wpływów Parti Sudeto - Niemieckiej wśród ludności. Obawy te okazały się jednak płonne, a spodziewany triumf Henleina zmienił się w klęskę. Partia bowiem Sudeto - Niemiecka, przy nadzwyczajnych wysiłkach i terrorze zdołała podczas deklaracji Henleina w Karlsbadzie i w pochodzie majowym w Reichenberdze zebrać za każdym razem po 20.000 ludz, gdy socjal - demokracja niemiecka zebrała również w tym samym Karlsbadzie bez nacisku i „flüster-propaganda" powyżej dwudziestu tysięcy-!! Cały okręg węglowy niemiecki jest jeszcze do dziś dnia pod wpływami socjal - demokracji. Henlein zmuszony będzie teraz skromniej mówić, gdyż okazało się, że nie całe Sudety pozwalają mu w swoim imieniu przemawiać. Jeśli po Anschlussie, po likwidacji połowy aktywizmu niemieckiego i po deklaracji karlsbadzkiej Henleina, nie bacząc na terror i nacisk moralny dziesiątki tysięcy Niemców odważyło się demonstrować za demokracją i przeciw Hitlerowi, to wykazuje to jasno jak dalekim jest jeszcze Henlein od zupełnego zglajchschaltowania Sudetów. Okazało się, że część ludu niemieckiego, potrafi mimo wszelkich gróźb walczyć o swoją swobodę i wolność przekonania

Niezatarte wrażenie pozostawiła Praga, demonstrująca jedność całego narodu w obronie demokracji. Nieprzejrzane morze głów stutysięcznej masy ludzkiej, złożonej z członków krańcowo przeciwnych sobie stronnictw, stojących zgodnie przy sobie, pod powiewającymi sztandarami państwowymi, bez odznak partyjnych, stworzyło nis zatarty obraz świadomości wspólnej doli i niedoli, gotowości do walki o najwyższe wspólne dobro jakim jest wolność każdego narodu. Demonstracja ta była godną odpowiedzią całego narodu czeskiego Henleinowi i jego berlińskim mocodawcom.

Lud zebrany w niedzielę na Placu Wacława dał w ten sposób wyraz swej wyczerpanej cierpliwości wobec coraz to nowych prowokacji ze strony Partii Sudeto-Niemieckiej. Spokojni kupcy czescy, matki posiadające synów, zdolnych do noszenia broni, robotnicy, przemysłowcy wraz z ich personelem i całymi rodzinami, wszyscy ci, którzy ulicy praskiej nadają jej typowy wygląd sytego drobnomieszczańskiego życia powiedzieli tym razem, że mają tego dość. Hradczyn posunie się jak najdalej, by uniknąć otwartego zatargu z Niemcami. Ustępstwa te nie posuną się jednak poza autonomię kulturalną dla mniejszości niemieckiej. Wszelki zaś nacisk w celu osiągnięcia żądań Henleina, będze oznaczała dla Pragi casus belli. W tym względzie Czesi trzymają się powiedzenia swego pierwszego prezydenta-oswobodziciela, Masaryka, znanego filozofa i pacyfisty, że naród, który walczyć nie potrafi w obronie swej wolności nie jest jej wart.

Jasnym też z tego punktu widzenia staje się dla nas bezkompromisowo-negatywne stanowisko Czechów wobec żądań Henleina, które nie są podyktowane potrzebami Niemców Sudeckich, lecz polityką panów z Wilhelmstrasse. Henlein żąda dla Niemców stanowiska „Staatsvolku", chcąc już potem jako „Herrenvolk" podporządkować politykę zagraniczną Czech potrzebom niemieckiej expansji na Wschód. Niemcy sudeccy otrzymają wszystko, co żądają za wyjątkiem wspomnianych spraw. Naprawione zostaną drobne krzywdy, które Niemcom napsuły jednak wiele krwi, spowodowane przez biurokrację lokalną bez wiedzy niekiedy władz centralnych w Pradze. Już podjęte zostały kroki celem ulżenia nędzy panoszącej się w niektórych okręgach Sudetów. Otrzymają odpowiednią sobie liczbę urzędników oraz sumy potrzebne na cele kulturalne. Język niemiecki jest jak język innych mniejszości równouprawniony i posłowie niemieccy przemawają jedynie po niemiecku, a także stenogram ich przemówień jest w języku niemieckim. To wszystko otrzymali, albo dostaną jeszcze, ale nic więcej. W każdym razie obawa ultimatum niemieckiego lub powstania Niemców sudeckich, apel Henlena do Hitlera o pomoc na wzór historycznego wezwania Seyss Inquarta narazie jeśli nie zniknęła to zmalała na skutek rozmów londyńskich. Jest jedynie obawa nacisku gospodarczego Niemiec na Czechy, ale i pod tym względem przyrzekła Anglia swoją pomoc Czechosłowacji. Poza tym ministrowie Chamberlain, lord Halifax, Daladier i Bonnet stwierdzili jednogłośnie, że polityka mniejszościowa Czech tak jak ją mają dalej stosować jest „fair". Słowo to ma kolosalne znaczenie, gdyż w niwecz obraca wszelkie pretensje Berlina. Henlein swoją deklaracją karlsbadzką przysłużył się polityce czeskiej, gdyż anglo-francuska konferencja w Londynie stanęła na stanowisku, że żądania tego rodzaju oznaczają rozkład państwa czechosłowackiego i zmianę jego w narzędzie polityki niemieckiej. Anglia nagle zrozumiała cele poltyki von Papena, który chce poprowadzić Europę środkową pod hegemonią niemiecką przeciw Anglii i Francji. Również i ostatnie dwa artykuły w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" o Czechosłowacji wywołały tu wiele komentarzy i nadziei na polepszenie się stosunków między Warszawą a Pragą. Zresztą w całej prasie czeskiej zaznacza się ostatnio mocne nastawienie propolskie i prawie codzeń słychać nowe głosy, żądające zbliżenia z Polską, będącą według prasy tutejszej naturalnym oparciem dla wszystkich narodów słowiańskich.

Praga w maju 1938 r.

LEOPOLD HALPERN

TRUDNE ŻYCIE NA ŚLĄSKU

Halina Krahelska napisała powieść: „Zdrada Heńka Kubisza".*) Powieść posiada wyraźnie nakreślone podłoże społeczno-polityczne, a zarazem poświęcona jest sprawom ludzkim i tym najbardziej ludzkim. Napisana jest z talentem i z dużą wnikliwością psychologiczną. Ale nie to wszystko jest w powieści tej najważniejsze.

Bo najnowsza powieść Krahelskiej — to przede wszystkim potężne wołanie na alarm. Treść jej można sformułować krotko: „Polski Śląsk jest zagrożony". Albo jeszcze drastyczniej, ale wcale nie dalej od prawdy: „Hitler rządzi na Śląsku".

Polityczno - społeczne tło powieści Krahelskiej, namalowane z wiernością i dokładnością reportażu — przyznajemy to — było dla nas prawdziwą rewelacją. Nie wiedzieliśmy, a pewni jesteśmy, że z nami nie wiedziała większość opinii publicznej w Polsce, że tak daleko posunęły się macki hitleryzmu na polskim Śląsku. Spokojnie, po epicku i realistycznie namalowanym przez Krahelską obrazem rzeczywistości śląskiej poczuliśmy się wstrząśnięci i poruszeni do głębi. Czujemy, że autorka postawiła sobie za społeczny cel budzenie takich właśnie uczuć wśród czytelników. Społeczeństwo w Polsce musi wiedzieć, co dzieje się na polskim Śląsku!

*

Poznajemy Śląsk od przedwojennych czasów niemieckich aż do dni, w których żyjemy — poznajemy w przekroju pionowym i poziomym.

Pod panowaniem niemieckim „sprawy polskie" kultywowane są w śląskim środowisku robotniczym, wśród takich właśnie rodzin Kubiszów, górników z dziada i pradziada. Młoda inteligencja polska, owi Galewscy i Urbankowie, którzy zresztą także wyszli z klasy robotniczej, muszą w klasie tej szukać oparcia do ciężkiej walki o polskość. Jak zawsze niemal bywa w dziejach ruchów narodowych, walka o wyzwolenie narodowe łączy się z walką o wyzwolenie społeczne. Inteligenci bratają się z robotnikami i podsycają ich narodowe uczucia nadzieją sprawiedliwości społecznej w wolnej Polsce. Tak dochodzi do trzech powstań śląskich i zwycięskiego choć tylko częściowo, plebiscytu. Śląsk jest już polski!

Ale tylko częściowo. Częściowo pod względem terytorialnym i — co jest stokrotnie groźniejsze — także pod względem podziału dóbr. Bo terytorium, ludność (w większości swej) i władza suwerenna (wszystkie trzy elementy, składające się na nowoczesne pojęcie państwa) są polskie — ale kopalnie, huty, fabryki i kapitały pozostały niemieckie.

*) **Halina Krahelska: Zdrada Heńka Kubisza. Powieść. Wydawnictwo Nowej Biblioteki Społecznej. Warszawa 1938. Str. 478.**

Te „dysproporcje sił i dysproporcje wartości materialnych" — jak wyraziły się p. minister Kwiatkowski — doprowadziły do takich paradoksów, że wkrótce po przyłączeniu Śląska do Polski, Polacy, dyrektorzy i inżynierowie w przedsiębiorstwach niemieckiego kapitału robili porachunki z Polakami za udział w powstaniach. Jeszcze w pierwszych latach niepodległości poczęło się na polskim Śląsku odnosić wrażenie, że panującą narodowością są tam Niemcy. Przewaga gospodarcza umożliwiała im nie tylko szykanowanie Polaków, ale nawet germanizowanie mniej odpornych i bardziej zależnych elementów wśród warstw dolnych.

A polskie warstwy górne, Galewscy i Urbankowie, co to nie dawno jeszcze szli do mieszkań robotniczych, by wspólnymi siłami walczyć o „polskie sprawy"? Jak często to bywa w dziejach walk narodowo - wyzwoleńczych, po wspólnym wywalczeniu wolności narodowej zrezygnowali z wspólnego urzeczywistnienia wolności socjalnej, porośli w pierze, poświęcili się własnym karierom.

Społeczeństwo polskie rozbiło się na świat panów i robotników, świat dyrektorów Galewskich i robociarzy Kubiszów. Związek Powstańców istniał dalej, ale w szeregach jego rozwarła się przepaść pomiędzy nasyconymi ponad miarę a pokrzywdzonymi wbrew sprawiedliwości. Widmo krzywdy społecznej podzieliło wczorajszych towarzyszy broni. „Łącznikiem" dwóch światów pozostała ładniutka Linka Kubiszówna, „zmarnowana" przez Galewskiego. Bo: „Rodziny górnicze dostarczały nieustannie kochanek szefom do biur rozmnażając się obficie." Na żyznej glebie osobistych i rodzinnych tragedii rosły rozgoryczenie i nienawiść.

Wśród górnych warstw polskich nie brakło może elementów idealistycznych, ale: „Przyszło życie i zrobili się inni w innym życiu". Centralną figurą na Śląsku był ktoś, kogo autorka dyskretnie ukrywa w cieniu, sugerując wszakże wyraźnie, że pod imieniem Zygmunta ukrywa się popularna postać wysokiego urzędnika administracji państwowej. Zygmunt gardzi sabarytyzmem warstw górnych i zwalcza rażące objawy krzywd i niesprawiedliwości. Przyświeca mu ambicja wodzostwa w tym województwie śląskim, musi więc rozporządzać ludźmi oddanymi mu bez zastrzeżeń i gotowymi na wszystko. Ale ludzie z charakterem nie godzą się na odgrywanie takiej roli, musi więc Zygmunt uciekać się oportunistycznie do pomocy karierowiczów i na wiele rzeczy patrzeć przez palce wbrew własnemu przekonaniu. Oto źródło konfliktu wewnętrznego w duszy ambitnego polityka, a zarazem szyfr do zrozumienia starego jak świat zagadnienia, czemu idealiści, gdy dochodzą do władzy, tak rzadko potrafią zreal'zować swe ideały, czy bodaj zachować im wierność.

*

Krzywda socjalna na Śląsku roz brzmiewa potężnym akordem w powieści, której autorka — inspektorka pracy, zna, jak nikt inny, dysproporcje pomiędzy pisanym ustawodastwem socjalnym a rzeczywistym układem stosunków w kopalniach i hutach, fabrykach i warsztatach.

Taki n. p. majster Kaczmarek umie sprytnie wykalkulować, aby w warsztacie jego zawsze tylko pracowali terminatorzy, płacący mu za naukę, a nigdy wyzwoleni czeladnicy, którym przecież przyszłoby płacić za pracę. A w miniaturowej „fabryce" cukierków robotnice pracują po kilkanaście godzin na dobę, bo gdzież tam dotrze inspektor pracy. W ogóle ośmiogodzinny dzień pracy jest na Śląsku zupełną fikcją. Polskie prawo zabrania zatrudniania kobiet przy uciążliwej pracy w windach ciężarowych, ale na Śląsku prawo to nie obowiązuje. Natomiast obowiązuje tam ustawa, przeprowadzona w Sejmie śląskim na wniosek jednego posła—księdza, a ustanawająca... celibat dla nauczycielek. Źródłem ilu udręczeń, wykolejeń życiowych i amoralności stała się ta „moralna" ustawa — zbyteczne wywodzić.

W wielkiej fabryce robotnicy śpią na ziemi i na schodach. Za to inna fabryka, zgodnie z duchem postępu socjalnego, wybudowała „medelhojz" dla kilkuset swych robotnic. Jest to istny pałac z łóżkami i nawet basenem, wzbudzającym podziw różnych komisji. Tylko, gdy komisji nie ma, w brudnej, stojącej wodzie basenu kąpie się kilkaset robotnic, obdzielając się wzajemnie brudem i zarazkami. A cały ten „medelhojz", zamykany po dziewiątej wieczór i znajdujący się pod „opieką" stróża, jest więzieniem, współczesnym haremem dla majstrów i inżynierów, urządzających tu sobie bezkarnie „psie wesela" z bezbronnymi robotnicami.

Tak, trudne jest życie robotników na Śląsku...

*

Ale ci robotnicy śląscy, tak jak ich charakteryzuje autorka, są to twardzi, mocni i prawi ludzie. Wysoka jest ich społeczna moralność, silnie reagują na wszelką krzywdę i niesprawiedliwość, potrafią zachować się po bohatersku. Uświadomieni wśród nich rozumieją ukryte sprężyny zjawisk społecznych i nawet w najgorszych chwilach nie załamują się zupełnie.

Nas interesuje szczególnie ich stosunek do żydów i antysemityzmu, tak, jak w pewnym fragmnecie, został on przez Krahelską mimochodem naszkicowany. Młoda robotnica, Teresa, której życie nie szczędziło najboleśniejszych ciosów, mówi w chwili wielkiego rozgoryczenia do partyjnego robotnika-żyda, wzywającego ją, by wiernie służyła sprawie robotniczej: „Z wami razem? z żydami? taka mi sprawa robotnicza!" Ale wnet wycofuje się: „Nie-N'e! ty moich słów nie słuchaj! złości jest we mnie bardzo dużo — na całe życie!" A na zakończenie długiej, już przyjacielskiej rozmowy: „— nie gniewaj się za te głupstwo do ciebie o żydach... To przez tę moją straszną złość i, wiesz, wszystko już we mnie boli!.. A czasem — złość nawet plącze mi to co jasne i tak podstawia rzeczy, żebyśmy ciemniejsi byli... jeszcze długo!.. Ale ja przecie wiem. My robotnicy, to tam ne mamy rozróżniać żyda czy nieżyda. wśród nas, przy warsztacie... Jednakowo każdy z nas robi i każdy we władzy jest równej ich... fabrykanta... Bardzo cię nawet przepraszam!.."

*

Trudne życie na Śląsku pogorszyło się niebywale w kryzysowych latach 1930—1932 Pod wpływem nędzy i bezrobocie, a od r. 1933: pod wpływem zwycięstw Hitlera — spotęgował się do niebywałych rozmiarów nacisk niemiecki na Śląsku. Tu dochodzimy do tych rewelacyjnych, a zgrozą przejmujących, ustępów książki Krahelskiej.

Polskie matki poczęły posyłać swe dzieci do niemieckich szkół, bo tam karmiono zgłodniałe maleństwa. W miejscowościach, w których za plebiscytu śląskiego nie padł ni jeden głos za Niemcami, teraz niemal w każdym domu wisiały portrety Hitlera. Siła atrakcyjna Rzeszy i hitleryzmu rosły i potęgowały się stale. Bo za granicą dymiły fabryki, robotnicy mieli pracę i zarobek, a dzieci ich butnie maszerowały w szeregach S. A.. Prawda, uświadomieni socjalistyczni robotnicy polscy argumentami rozumowymi wykazywali prawdziwe oblicze „hitlerowskiego raju", ale cóż, prócz słów mogli dać wygłodniałym bezrobotnym?

Na tym podłożu zaszły na Śląsku owe straszne rzeczy w „dniu, gdy Hitler wszedł do Nadrenii i Katowice nagle ukazały swoje drugie, niemieckie oblicze". Tu powieść Krahelskiej przemienia się w reportaż polityczny, z którego warto zacytować i zapamiętać kilka najbardziej drastycznych momentów: „Niemcy chodzili tego wieczora po knajpach, zmuszali Polaków do wołania „Heil Hitler!", wstawania na dźwięk „Horst Wessel Lied", a pijani pchali Polakom do ust podobiznę Hitlera — całować... „...w niejednej knajpie Polacy stchórzyli, ustępowali przemocy, albo i butnej mniejszości, wstawali, nawet „heilowali"..."

Albo jeszcze jaskrawiej: „Pewnej niedzieli, w Katowicach, Polacy zostali siłą wyrzuceni z lokalu Związku Powstańców, gdyż Niemcy przyszli ławą, w parę set chłopa, zastraszyli woźnego, powypychali z miejsc uczestników polskiego zebrania... Nazajutrz gazeta „Polonia" zamieściła wzmiankę o przykrym zajściu i nawet pisała, że intruzi niemieccy zasłonili portret Marszałka Piłsudskiego w tej sali, gdzie przy obradach ich godna im była przyświecać tylko swastyka. Inne gazety zamieściły znów bardzo zawiłe sprostowania „Polonii: zwłaszcza sprostowanie faktu o zawieszeniu portretu Marszałka. Brzmiało to tak: „Nieprawdą jest, że..." i: „Natomiast prawdą jest, że..:" Opinia publiczna wiedziała, że miał jednak miejsce wielki skandal. Szkodliwość strusiej polityki zacierania rzeczywistości stawała się i dla ślepych jasna."

A skutki tej strusiej polityki zacierania rzeczywistości? Były aż nadto wyraźne: „... w sklepach, na placach, targach, w knajpach Niemcy otwarcie mówili o swych nadziejach: że teraz Hitler uskuteczni swój drugi etap: wkroczy na Śląsk. Zjawiło się teraz odrazu dużo ludzi, Polaków, ślązaków, którzy poczynali z miejsca czuć wolę Bożą do narodowości niemieckiej i przystosowywali się już do ewentualnej nowej sytuacji.

Wydrębniła się też i inna grupa osób, zwłaszcza liczna wśród inteligencji: Polacy, ludzie apolityczi, inżynierzy, lekarze, mawiali już o tym, że kto nie angażował się zbytnio w tych latach do pracy antyniemieckiej, do jaskrawych demonstracji patriotycznych polskich na Śląsku — utrzyma się z pewnością przy swoim kawałku chleba, nawet w wypadku zmiany warunków politycznych na Śląsku i wkroczeniu tu Niemców."

*

Na tej zatrutej glebie społeczno-politycznej rzeczywistości współczesnego Śląska rozwijało się trudne życie bohatera Krahelskiej, Heńka Kubisza. Kto poznał już tę rzeczywistość z reportażowych części powieści, zdoła zrozumieć, czemu to Heniek Kubisz „szlachetny, męski i prawy", skończył jak podły, przekupiony zdrajca; czemu to Polak powstaniec i socjalistyczny robociarz stał się hitlerowskim szpiegiem; czemu kochający i kochany musiał utracić najdroższą kobietę; czemu to jego młode życie było takie trudne czemu tak tragicznie, tak anormalnie się zakończyło.

Ale „Zdrada Heńka Kubisza" — to nie tylko polityczny repotaż, przepojony wyłącznie pewnymi tendencjami społecznymi — powieść Krahelskiej to twór literacki, poświęcony sprawom ludzkim i tym arcy-ludzkim. Z wielką intuicją kobiecą i głęboką znajomością psychologii, autorka maluje dwa piękne, a zarazem wcale nie banalne obrazy miłości. Życiowa tragedia trójkąta Wikty i dwóch braci — Józefa i Ernesta, którzy obaj kochali, ale z których jeden musiał się wyrzec — jest naszkicowana lekko, z niedomówieniami i domyślnikami. Wielka zaś miłość Heńka i Teresy jest oddana w postaci pełnego, tryskającego różnymi barwami i niuansami barw, obrazu.

Podkreśliłem na wstępie: „Zdrada Heńka Kubisza" jest potężnym wołaniem na alarm. Stosunki socjalne, polityczne i narodowościowe na Śląsku nie są pozbawione elementów rzeczywiście groźnych. Godzina wydaje się być naprawdę późna. Alarm Krahelskiej musi być wysłuchany przez wszystkich w Polsce.

J. GITLIN

Brunatny Gdańsk

(REPORTAŻ)

Trudno jest pisać o nowych warunkach życia w mieście, w którym zaledwie kilka lat temu kwitł dobrobyt i wolność, gdzie nie było ucisku i przymusu, gdzie nie ogłuszał wrzask nacjonalistyczny.

Dawniej Gdańsk był miastem ożywionego handlu. Dzisiaj kipi polityką, krzyczy demagogią, wrzeszczy patriotyzmem, jęczy uciskiem i — cieszy się „triumfami", osiągniętymi przez partię nar.-socjalistyczną.

Gdańsk — to słowo tu tak obco brzmi, ja kiedy w Gdyni słyszy się „Gdingen". Tak, Gdańsk nie jest polski, jest nawskroś niemiecki, a ściślej mówiąc — pruski.

Spróbujmy zrobić mały przegląd Gdańska, przejść się jego ulicami, zaułkami, być trochę „na mieście", oddychać jego atmosferą w oderwaniu od polityki.

Mieszkaniec Gdańska bierze udział w codziennym życiu nadbałtyckiego grodu od godziny piątej rano. Wtedy przelewają się ulicami oddziały różnych formacji, ich skoszarowane śpiewy i jednoczesne, rytmiczne uderzenie setek „Marschstieflów". A potym orkiestry. Bębny małe i duże i cały szereg różnego rodzaju fletów-piszczałek. Istna neo-pogańska orkiestra. I śpiewy: „Hängt die Juden, stellt die Wanzen an die Wand". Jest to niejako pieśń urzędowa. I nie byłoby w dobrym, hitlerowskim tonie, gdyby podczas marszu między innymi muzycznymi i poetyckimi wytworami ich mózgowic nie śpiewano i tej pieśni.

Te wczesne marsze bynajmniej nie są spowodowane jakąś uroczystością, rocznicą czy świętem. Jest to objaw codzienny. I całodzienny. Przez cały dzień miasto rozbrzmiewa pieśniami, marszami i dzikimi piszczałkami. Przy marszach wieczornych obowiązkowe są pochodnie lub zapalone łuczywa. Cel jest ten, by przyzwyczaić ludność do ciągłych marszów, by ich moralnie zmilitaryzować. U końca maszerujących kolumn nierzadko widzi się mężczyzn cywilnych, ostatnio „zwerbowanych" (czytaj: przymusem wciągniętych) do partii.

Tak więc gdański dzień wita się marszami. Gdy tylko światło dzienne wdziera się w wąskie i kręte ulice, prawie wszystk'e bez wyjątku sklepy rozpoczynają swój codzienny niemy krzyk: „Juden unerwünscht". Jest to drugi objaw, triumfalnie bijący w oczy. I przybysz, który nie zechce wejść do takiego lokalu lub sklepu, będzie w prawdziwym kłopocie, daremnie szukając instytucji nie aryjskich. Następnie uderzają przybysza oznaki na klapach ubiorów. Nie ma w Gdańsku człowieka (dosłownie), oczywiście prócz żydów, który nie miałby na palcie lub marynarce przyczepionych różnych „wywieszek". Więc obowiązkowy „hakenkreuz", jastrzębie o wielkich skrzydłach, tajemnicze znaki — miecze, koła, trójkąty. Szyldziki, będące świadectwem ich przynależności. W tej dziedzinie wynalazczość niemiecka znalazła znakomite ujście. Oznaki te często się zmieniają. Poprostu jakiś „ideowy" rzeźbiarz lub grafik „wykombinował" nowy okaz, zaraz zanosi go do „Gauparteiamtu", partia unaje oznakę jako jeden z symbolów ideologii nar. soc. daje pozwolenie na masowy jej wyrób i... po kilku dniach na wszystkich ulicach miasta, na placach i skwerach, przed kościołem, kinem lub teatrem stoją szturmowcy i miłym, nie znającym sprzeciwu, głosem zapraszają do kupna nowego znaczka. Nie na jednej piersi można ich naliczyć do pięciu.

A potem flagi. W niezliczonej ilości. Spuszczane z dachów do 1-go piętra. Gęsto na ulicach rozmieszczone maszty z łopocącymi na nich sztandarami. Co kilka dni jakaś mała uroczystość, rocznicy, i wele innych, a wszystkie jako przydawkę oczywiście mają „niemiecki".

Ta wielka ilość świąt, parad, mów i mówek, głoszenia nowych prawd i piętnowania innych jako herezje i wykroczenia przeciw ideologii nar. soc. same przez się mogą „odzwyczaić" lud od religii. W niedzielę przed kościołami oczywiście widzi się dużo ludzi, tak w Gdańsku jak i Sopotach, ale partia jako władza nigdy o religii nie wspomina, chyba w celach podobnych celom Berlina.

Gdy do tego dodamy, że co dziesiąty mieszkaniec lub mieszkanka stale po mieście paraduje w mundurze z racji ich stałej przynależności do partii, i jeśli obok tego uzmysłowimy sobie uporczywą żebraninę rozmaitych państwowych filantropii (zimą naprz. „Winterhilfswerk"), będziemy mieli pełny obraz gdańskiej ulicy, Filantropię tę wykonywują członkowie (umundurowani) partii oraz sympatycy. Jedną z głównych gałęzi tej państwowej filantropii jest urządzanie zbiórek ulicznych. Odbywa się to w ten sposób, jak przy sprzedaży oznak. Na ulicach rozstawieni są S. A. i S. S. z tą tylko różnicą, że w znacznie większej liczbie. Gdy obcy przechodzień wrzuci do puszki datek, daremnie czeka na otrzymanie znaczka, A mundury stoją u wylotu i na początku każdej uliczki, Więc gdyś wrzucił parę groszy do puszki na początku ulicy, bynajmniej nie jesteś wolny od „zaczepienia" na końcu tej samej ulicy. A takich małych uliczek Gdańsk posiada wiele.

Dla dopełnienia obrazu dzisiejszego Gdańska należałoby też słów parę powiedzieć o młodzieży hitlerowskiej w mieście. Dziwne, jak pod panowaniem obecnego reżimu młodzież się rozzuchwaliła i rozwydrzyła. Chodzą te brązownica, „upamiętnienie", a w rezerwie... dni. Matki, ojca, dzieci, partii, szkowe stworzenia ulicami hałasując, głośno mówiąc, dziewczęta, piszczą w głośnym śmiechu. Swawoli takiej nie mają we własnym domu. Wzorem starych hitlerowców wstąpiła w nich prawdziwie niemiecka buta. Chłopcy ubrani w wysokie buty (Hitlerjugendmarschstiefel), w bryczesy, jasno brązowe bluzy. Noszą przepaski jak oficerowie, chodzą bez czapek, bez palt, mundury zniszczone, (noszą je przy pracy), kolory nie bardzo jednakowe, szpecą tylko miasto. Gdańsk stał się żołnierski. Tylko nie wiadomo, czy żołnierze wciąż wyjeżdżają, czy przyjeżdżają. Flagi i sztandary łopocą, buty stukają o bruk, rolegają się dźwięki orkiestr, grających wiecznie marsze, słowa „hängt die Juden" mieszają się z piskiem jakiejś Gretchen lub Hildchen, wśród tego ucho chwyta dźwięk puszki, dochodzi do nas urywany, donośny głos komendy „Sturmu" (oddziału) formującego się do marszu na ulicy, przytym zdala dochodzą ryki trąb i piszczałek, na których trąbią i piszczą członkowie „Hajot" (Hitlerjugend)) po skończonym marszu, po drodze do domu.

Oto Gdańsk — **niepolityczny.**

Politycznie zaś Gdańsk jest małym państewkiem, nie mieszającym się do wielkiej polityki. Ani może, ani mu wolno, ani nie ma potrzeby.

Gdańsk nie zajmuje się polityką. Jest zajęty sobą, czyli swoimi żydami. W październiku ubiegłego roku w kasynie sopockim wielką mowę wygłosił przybyły z Niemiec z wizytą Juliusz Streicher. W mowie tej powiedział: „Z Niemiec i Polski żydów się wygania, tylko w Gdańsku jest spokojnie i żydzi panoszą się, opanowując majątek narodowy." Od tej mowy upłynął jeden miesiąc spokojny. Lecz wtajemniczeni wiedzieli, że był to miesiąc przygotowań. I potym zaczęło się, nagle pojawiła się kontrola Gdańskiego Urzędu Podatkowego we wszystkich przedsiębiorstwach i fabrykach żydowskich. Wykryto „wielkie nadużycia". Obłożono sekwestrem. Nastąpiły konfiskaty, kary i grzywny. Odpowiedzialnych dyrektorów i nierzadko prokurentów „przymknięto" i kontrola odbywała się bez przeszkód. Wyniki były wspaniałe: dziesiątki zrujnowanych firm żydowskich i zarobki „Steueramtu" idące w miliony. Skutki: masowa ucieczka żydów (w pierwszym miesiącu antyżydowskich wystąpień Komisariat Rządu R. P. wydał 1000 paszportów zagranicznych), likwidacja wielu firm, otworzenie ich na nowo w Gdyni i straty. Alles ist in arische Hände übergegangen. (Wszystko przeszło w aryjskie ręce) oto triumf niemiecki. Handel i przemysł tylko w małym stopniu jest jeszcze w rękach żydowskich. Rugi żydów z tych ostatnich dwóch dziedzin nie skończyły się, może tylko zwolniło się ich tempo. Po fabrykach „wzięto w obroty" żydów, którym doraźnie nic nie można było zlikwidować, wzięto się więc do... urządzeń mieszkaniowych. Bogaci żydzi, którzy nie mieli biur ani fabryk, uciekali z Gdańska zanim osadzono ich w areszcie i mieszkania zostawili na łasce losu.

Były wypadki, kiedy żadnym sposobem nie można było wykazać wykroczeń księgowości przedsiębiorstwa, wtedy po prostu nakładano grzywnę pod byle jakim pretekstem, grzywnę która niejednokrotnie przewyższała wartość przedsiębiorstwa — wcale nie małą. A wtedy „wyłaniano" propozycję: wobec niemożności zapłacenia tak wysokiej kontrybucji — odsprzedaż przedsiębiorstwa w aryjskie ręce. Przychodzili bogaci Niemcy, dokładnie o wszystkim uprzedzeni, ofiarowywali cenę ubitą przedtym ze Steueramtem, i nabywali poważne obiekty przemysłowe.

Jest jeszcze **inny** Gdańsk polityczny. Ale ten śpi. Na Neugartenie rezyduje Senat. Na Neugartenie wre ruch. W Senacie wszystko uchwala się bez opozycji. A pałac na „Am Generalkommando" (siedziba Wysokiego Komisarza Ligi Narodów) o pięć minut od Neugaratenu spoczywa w błogim spokoju... Sprawił to chyba wpływ średniowiecznego miasta, jakim w rzeczywistości jest Gdańsk, że prof. Burckhard usnął, ukołysany „spokojem i rytmem" nowoczesno - średniowiecznego grodu.

Pamięci Karola von Ossietzky'ego

LION FEUCHTWANGER

REALISTA...

To, co można istotnego powiedzieć o Ossietzky'm jako o pisarzu i polityku, daje się ująć w jedno zdanie: był zawsze gotów życiem swoim złożyć świadectwo o tym, co pisał; wiedząc, co go czeka, i mimo możliwości ucieczki poszedł do więzienia tylko po to, aby poprzeć swoją prawdę.

W ostatnich dziesiątkach lat wciąż wysuwano kwestię, czy w obecnych czasach ma sens, czy użyteczną rzeczą jest poddawanie się męczeństwu. Czy męczennicy posuwają świat naprzód? Czy męczennicy popierają swoją sprawę? Czy to nie o wiele mądrzej żyć i działać dla sprawy, niż umrzeć dla niej? Czy człowiek uwięziony lub umarły może się więcej przysłużyć jakiejś sprawie, niż wolny i żywy? Sceptycy wskazywali na dziesiątki tysięcy ludzi, którzy umierają w Hiszpanii i w Chinach, na setki tych, co w Niemczech i w Austrii giną w obozach koncentracyjnych lub wprost skazywani są na śmierć. Świat, powiadają sceptycy, przyzwyczaił się do cierpień niewinnych, swat nie zwraca już uwagi na to, że umierają męczennicy.

Tak było z Ossietzky'm. Poszedł do więzienia za swe przekonania, które były pełne sensu, dopóki walczył o nie. Jego życie i śmierć poświęcone były pokojowi, bezwzględnemu, bezkompromisowemu pokojowi. Dla tego pokoju pisał, dla pokoju żył, dla pokoju poszedł do więzienia, dla pokoju otrzymał nagrodę i dla pokoju umarł. Najważniejsza i najtrudniejsza część jego pracy miała na celu wykazanie, że potajemne zbrojenia Niemiec zagrażają pokojowi. Wykazanie tego miało sens; pójść za to do więzienia też miało sens. Bo męczeństwo to skierowało uwagę całego świata na to, że pokój jest zagrożony. I to, że po utworzeniu przez hitlerowców Trzeciej Rzeszy Ossietzky nie umknął przed nimi, też miało jeszcze sens. Uwięzienie i maltretowanie człowieka tylko za to, że przyznawał się do pokoju, miało pokazać światu, iż ci, co go uwięzili, zwalczają pokój, a więc chcą wojny. Męczeństwo Ossietzky'ego musiało zwrócić na się uwagę świata.

Trzeba jednak założyć, że świat chce myśleć, że chce wyciągać logiczne wnioski. Cóż jednak, jeśli nie chce tego? Cóż, jeśli nie chce widzieć rzeczy oczywistych?

To właśnie, czego świat nie chciał spostrzec, wyszło na jaw, gdy Ossietzky przebywał w więzieniu.

Wiarogodni świadkowie, współwięźniowie, którzy się uratowali, opowiadali jak z nim postępowano. Opisywali szczegółowo, jak parobczaki w mundurach S. S. wśród batów i udręczeń wychowywali pisarza politycznego, Ossietzky'ego „w duchu obywatelskim i państwowym". Świat to potępił, nagrodził Ossietzky'ego, który dla pokoju naraził się na to wszystko, świat współczuł mu, uwieńczył go nagrodą Nobla... Ale z życia jego i męczeństwa nie wyciągnął żadnych konsekwencji. Ociągał się z jakąkolwiek decyzją, odkładał ją z dnia na dzień, na jutro, pojutrze, na następny miesiąc i na następy rok. Czy męczeństwo Ossietzky'ego więc przydało się?

Ossietzky walczył o rozbrojone Niemcy. Niezbitym materiałem dowodził potajemnych zbrojeń niemieckich po to, by skłonić do zapobiegnięcia tym zbrojeniom tych, co to uczynić byli w stanie. Ossietzky wiedział, że te zbrojenia na pewno doprowadzą świat do nowej wojny. Wydarzenia niestety potwierdziły jego prognozę. Niemcy, które inni mogli rozbroić z nieznacznym wysiłkiem, zmuszają dziś tych innych, by się sami zbroili. Za co więc umarł Ossietzky, skoro wielu wprawdzie jego ostrzeżenie słyszało, ale nikt go nie usłuchał?

Za co umarł prorok Jezajasz, najpotężniejszy bojownik o pokój, jakiego zna historia? Przeciwnicy pokoju, jak powiada legenda, rozpiłowali go w wydrążonym pniu i dalej prowadzili swą wojnę. Za co umarł Jezus z Nazaretu? Ani Żydzi ani Rzymianie nie słuchali Jego posłannictwa.

Karol von Ossietzky znał odpowiedź na to pytanie. Wiedział, że działalność proroka Jezajasza była „pożyteczna" również i w sensie owych sceptyków. Wiedział, że jego własna działalność była pożyteczna. Przy całym swym idealizmie Ossietzky był realistą. Wiedział, że męczeństwo jest często propagandą dopiero na daleką metę. Chociaż na świecie jest i będzie jeszcze wojna, ten bojownik o pokój, wiedział, że przjydzie czas, kiedy jego męczeństwo przestanie być daremne...

Jakkolwiek Ossietzky bez przemocy prowadził swą walkę, wiedział, że to jest *w a l k a* i chciał, by ją za taką uważano. W ostatniej mowie, jaką wygłosił na kilka dni przed uwięzieniem go przez hitlerowców, wyznał: Ja, pacyfsta, staję w szeregach wielkiej armii, która walczy o wolność".

I był jednym z najdzielniejszych tej armii żołnierzy.

HENRYK MANN

WIECZNIE ŻYWY

Ossietzky — to bohater przekonań. Na długo przed śmiercią zamknięto mu usta i kazano uważać za umarłego. Kto zmusza wyznawców do milczenia, przyjmuje tym samym, że i sama idea umarła. Daremny to trud. Idea pokoju jest nieśmiertelna. Ten, co walczy przeciw przemocy o obyczajność, służy wieczności, a przeciwnicy jego służą prochowi.

Ci, co używają przemocy, osiągają coś wręcz przeciwnego, niż zamierzają. Dostarczają dowodów ideałowi pokoju i obyczajności: po pierwsze dla tego, że samo ich istnienie jest wstrętne, poza tym dlatego, że ich czyny są bezowocne. Opór przeciwko przemocy organizuje się. Jest dziś o wiele pewniejszy, niż wówczas, gdy ona potajemnie przygotowywała swe wspaniałe wystąpienie.

Dni Ossietzky'ego były to dni „czarnej Reichswehry", dni ukrytego państwa wojskowego i dobrowolnej slepoty republiki, która nie chciała widzieć zbrojeń. Ossietzky'ego, prześladowano, zasądzono i wreszcie wtrącono między żywe trupy dlatego, że widział, co się święci, i głośno mówił o tym.

Słowa „To się nie może dobrze skończyć", brzmią trochę jak obawa, trochę jak skrucha. Wcale, prawie wcale nie zawierają buntu. Ossietzky zaś pisał, by obudzić sumienie i doradzać bunt w odpowiedniej chwili. Niemcy nie są już teraz w stanie stawiać oporu nazewnątrz, muszą to zostawić innym narodom. Tymczasem żałują, że pozwolili by nimi zawładnęła przemoc, i obawiają się skutków wojny i klęski.

Szanse zwycięstwa Niemiec byłyby w każdym razie znikome i z dnia na dzień stają się jeszcze mniejsze. W porównaniu ze stanem obecnym były w 1914 potężne. Narazie Niemcy prowadzą wojnę na manowcach. Wszczynają wojny domowe, by potem tam interweniować. Starają się spowodować rozkład wewnętrzny tych państw, których nie mogą zaatakować od zewnątrz. Nie przysparza to sławy u nikogo. Jedyny przykład użycia siły militarnej, Austria, spowodował jeszcze mniej podziwu — u Niemców nie wywołał go wcale.

Zdaje się, że na dalsze napady nie pozwoli się teraz, a ci, co stosują przemoc, kurczowo trzymają się pozwoleń. Jeśli tak wygląda siła... Powoli Niemcy przekonywują się, że przemoc ma swoje granice i że one są ciasne. Świat nie chce wojny. Stare, doświadczone mocarstwa tego świata rozporządzają jednak jeszcze rozmaitymi fortelami, za pomocą których umieją utrzymać pewnego rodzaju pokój i za każdym razem stłumić w ostatniej chwili niepowołany dynamizm.

Trwa to dotychczas, gdyż stosunek narodów do każdego napastnika — nie wyłączając jego własnego narodu — pozbawiony jest wszelkiej sympatii. Propaganda pokoju przyjęła imponujące rozmiary. Nie tylko dorównano, ale prześcignięto już Ossietzky'ego. On nie mógł i nie może mówić, ale jego idea stała się w międzyczasie głośna. W krajach, gdzie ludzie nie mogą mówić, krzyczą za nich ich przeżycia. Niemcy mają tak samo zamknięte usta, jak Ossietzky, gdy jako żywy trup przebywał w więzieniu.

Duchy pokroju Ossietzky'ego wierzyły w dobrowolny pokój w celu najwyższego uobyczajnienia. Trudno utrzymywać, że one zwyciężyły. Zmiana od czasów Ossietzky'ego jest oczywista. Wielu z tych, co za jego czasów w ogóle nie przypuszczali, że pokój a nie wojna jest rzeczywistą potęgą, teraz namacalnie się o tym przekonało.

Idea zyskuje tylko na tym, że próby obalenia jej nie odniosły skutku. Czegóż jeszcze chce przemoc, kiedy musi stroić się w fałszywą pokojowość? Prawdziwy pokój byłby słuszniejszy. Wciąż jeszcze byłby to dobry interes zdobywać wolność, a nie obce kraje. Kiedy Niemcy zajdą tak daleko, że będą mieli na względzie praktyczne korzyści a nie urojenia — nastąpi zwycięstwo umarłych ideologii.

OSSIETZKY

Przed sześcioma laty poszedł do więnienia: nie był specjalnie silny, ale odporny i zdrowy. Osiem miesięcy więzienia osłabiło go, ale nie złamało. W połowie lutego 1933 przemawiał do pisarzy, stłumionym głosem, podniecony świadomością, że to jest na długi czas ostatnia sposobność mówienia. Przed nim siedział namiętny i hardy jak zwykle Erich Mühzam. Dziesięć lat, to potrwa — powiedział Ossietzky — i coraz będzie gorzej. Nie wiem, czy ktoś prócz agentów policji notował to przemówienie, chciałbym teraz usłyszeć je w dosłownym brzmieniu. Wielu z nas — powiedział — nie zobaczy się już więcej, chwila jest odpowiednia, by ślubować, że nie ustąpimy nigdy, nie damy się omamić, oprzemy się wszelkim próbom. Walczyłem na wszystkie strony — powiedział dalej. Więcej na prawo, ale i na lewo — dziś jednakże — wyznał — dziś powinniśmy wiedzieć, że po lewej stronie mamy tylko sprzymierzeńców

To było pożegnanie. Rozmawialiśmy jeszcze ze sobą. Ale teraz mamy przed sobą postać tego Ossietzky'ego, który w ów berliński wieczór lutowy obwieścił swą decyzję zniesienia wszystkiego i nie kapitulowania pod żadnym pozorem. A kiedy ujrzeliśmy po latach więźnia o głęboko osadzonych i pełnych bólu oczach i o twardych rysach, byliśmy wszyscy przejęci i zawstydzeni, że on cierpiał za nas wszystkich. Mógłby uciec, ale został nie „ze względu na lojalność" — jak pisał w maju 1932 — „ale dlatego, że jako więzień jestem najbardziej niewygodny". I chociaż nic nie uczynił i wszystko znosił, był strasznie niewygodny. Obraz prześladowanego, niewinnego czowieka, który nie uczynił nic poza tym, że opowiadał się za pokojem, prześladował uczciwych całego świata. Obraz ten wstrząsnął nimi i zmusił, by wbrew wszelkiemu oportunizmowi, nagrodą Nobla demonstrowali przeciw jego prześladowcom. Kiedy przyjaciele Ossietzkyego zaczęli na emigracji kampanię o ten zaszczyt, nie wierzyli w powodzenie. Za bardzo osłabło zaufanie do mistycznego sumienia świata. Wierzono, że uda się oszczędzić kandydatowi do nagrody Nobla losu Mühzama, może uwolnić go z obozu koncentracyjnego, ale wątpiono w to, by ludzkość miała odwagę narazić się Trzeciej Rzeszy i odznaczyć męczennika lepszych Niemiec. Ale doczekano się triumfu: ostatnia wielka satysfakcja dla śmiertelnie już wtedy chorego Ossietzky'ego i rehabilitacja dla antyfaszystowskiego świata, który ze zdumieniem stwierdził swą własną odwagę i przekonał się, że — gdy tylko zechce — potrafi się jeszcze przyznać do swoich najlepszych przedstawicieli.

S. P.

MAX WERNER

HORE-BELISHA

Angielski obóz rządowy ma trzech znakomitych młodszych polityków: Edena, Duff Coopera i Hore-Belisha. W pewnej mierze związani są ze sobą pod względem resortów: w obecnych burzliwych czasach kierują dyplomacją i wojskowością Anglii, zamieniali się między sobą urzędami lub jeszcze się zamienią. Duff Cooper był poprzednikiem Hore-Belisha w ministerstwie wojny, a o Hore-Belisha, który dziś jest ministrem wojny, mówi się, że czeka na tekę kierownika Foreighn Office. W danej chwili bez wątpienia góruje Hore-Belisha: Eden jest — że tak powiem — na urlopie, a Duff Cooper kieruje właśnie starym ministerstwem o obgatej tradycji: marynarką brytyjską. Armia angielska, która podlega dziś Hore-Belisha, przechodzi krytyczny okres przejściowy, czeka na wielkiego reformatora — a minister wojny zdaje się właśnie posiadać konieczną w tym wypadku energię i rzeczową ambicję.

HoreBelisha wybił się szybciej niż Eden i Duff Cooper, którzy posiadali potężne stosunki towarzyskie i polityczne. Eden należy do starej szlachty, miał oddawna stosunki w sferach prasowych — jego teść jest właścicielem wpływowej „Yorkshire Post." — i był protegowany przez Austen Chamberlain'a. Duff Cooper należał do koła, bliskiego dawnemu następcy tronu, obecnie ex-królowi. Obaj są ludźmi z society i z postępowej elity akademickiej. Hore-Belisha natomiast, potomek marokańskiej rodziny żydowskiej, mógł liczyć tylko na siebie. Nie należy też, jak obaj jego koledzy, do wielkiej partii konserwatywnej i jest deputowanym słabej grupy narodowo - liberalnej, której szef John Simon jest mało popularny; nie łatwo mu więc było osiągnąć jednego z najbardziej odpowiedzialnych stanowisk rządowych. Jako młody student poszedł Hore-Belisha na front, wrócił z wojny w randze majora i znowu został studentem. W 1923 wybrano go do Izby Posłów, w 1934 był ministrem komunikacji i zaraz zyskał sobie rozgłos. Znakomity organizator rozwiąza w jak najkrótszym czasie skomplikowane problemy komunikacyjne, przede wszystkim kwestię komunikacji samochodowej w wielkich miastach. Wielkie żółte kule na przejściach, zrobione w rodzaju paryskich „passages cloutes" nazywają się odtąd „Belisha-beacous".

Ledwo mianowany minister wojny w 1937, odważył się Hore-Belisha na wielkie posunięcie: zmienił i odmłodził całe kierownictwo sztagu generalnego. Starzy, zasłużeni dowódcy armii zostali usunięci, na ich miejsce weszli nowi ludzie. A 10. marca 1938 roku zapowiedział Belisha w Izbie Posłów przyszłą reformę lądowego wojska brytyjskiego, największą od czasów Kitchenera. Zadanie to zupełnie inne niż uregulowanie ruchu ulicznego. Hore-Belisha stał się odważnym politykiem wojskowym, który troszczy się również o wielkie akcje dyplomatyczne. Jest to pierwszy minister brytyjski, który od lata 1935 odwiedził Mussoliniego. W drodze powrotnej z Rzymu rozpoczął przy tym w Paryżu wielkie rokowania londyńskie, dla których przez wymianę zdań z Daladier i Gamelin stworzył podstawy militarno-polityczne. W Rzymie i w Paryżu uśmiechał się, był bardzo szarmancki, pozwalał się chętnie fotografować — i ustawicznie pracował w Londynie. Po tej podróży dyplomatycznej zaczęły się mnożyć pogłoski, że Hore-Berlisha desygnowany jest, by w krótkim czasie stać się następcą Lorda Halifaxa. Czy ten inteligentny mąż, u którego zapał i energię reguluje orientalistyczna przebiegłość obejmie to stanowisko, tak decydujące dla polityki światowej?

Brytyjska polityka zagraniczna może jeszcze i po rokowaniach londyńświatowej bitwą — Amiens, 8 sierpnia 1918 — wygrali w pierwszym rzędzie Anglicy.

Tak, Anglia pokazała w czasie wojny światowej, czego może dookonać w skich postępować ostrożnie naskutek swoich klasowych i psychologicznych hamulców, ale strategia brytyjska staje już teraz przed nowymi zadaniami. Do roku 1936. polityka militarna W. Brytanii pozostawała w stanie zastoju. Dziś pracuje usilnie, a angielskie kierownictwo państwowe przyzwyczaja się znowu do tego, by myśleć o kontynentach z punktu widzenia polityki militarnej. Australia ma się stać zbrojownią dla terenów nad Pacyfikiem, w Kanadzie powstanie potężny angielski przemysł lotniczy, a przemysł wojenny Stanów Zjednoczonych będzie również dostarczał Anglii samolotów wojennych. Od roku 1936 Anglia buduje potężny przemysł wojenny, a cała gospodarka narodowa przygotowana jest na wypadek mobilizacji. Minister wojny nie może się skarżyć, rozporządza bowiem potężnym aparatem.

Anglia jest też potencjalnie — a często się o tym zapomina — wielką potęgą lądową. W 1918 roku miała 78 dywizji na froncie, 5.704.000 ludzi czynnych było w służbie wojennej. Gospodarka wojenna Anglii dorównywała starej potędze militarnej, Francji, w czasie trwania wojny stworzyła między innymi, 35.000 samolotów i 24.000 dział armatnich. W ciągu dwóch lat Anglia zebrała, wyszkoliła i uzbroiła kolosalną armię. Wielka ofensywa Koalicji, w 1916. roku prowadzona była przez Anglików. O tej bitwie pisze poprzednik Hore-Belisha, Duff Cooper (w swojej książce o marszałku Haig):

> Verdum jest uratowane, współpraca angielsko-francuska wzmocniona. Anglicy nauczyli się walczyć — a armia niemiecka upadła na duchu.

Strategię angielską określa teraz niemiecka historia wojny jako ostrożną i celową. Rozstrzygającą dla wojny razie konieczności jako potęga lądowa. Ale potym rozbroiła się gruntownie. Pisze o tym marszałek Allenby w 1935:

> Nasza armia, przebywająca w kraju, nie może na zawołanie dostarczyć tej liczby dywyzji, jakiej zdołano w 1914. Większość naszych oddzałów tankowych operuje tankami, których wartość w razie wojny jest wątpliwa. Nasza regularna armia, która składa się tylko z 4 czy 5 dywizji, zdoła się, utrzymać tylko przez ograniczony przeciąg czasu. Przedsiębiorstwa które w tym kraju zdolne będą w chwili wybuchu wojny bezpośrednio produkować materiał wojenny, można policzyć na palcach. W dzień po wypowiedzeniu wojny produkcja ich ledwie wystarczy, by zaopatrzyć nieznaczną część naszej armii.

Ten stan słabości już niewątpliwie przeminął. Armii angielskiej brakło w owych latach nie tylko skoncentrowanej siły, lecz także jednolitej doktryny wojennej. Nauka Fullera i Liddell-Harta o zmechanizowanej armii wywarła silny wpływ na wojska zagraniczne, ale nie była oficjalną doktryną angielską, była w pewnej mierze prywatną ideologią pewnego koła pisarzy wojskowych.

Hore Belisha musiał dopełnić zaległości armii. Nie mógł przy tym automatycznie wrócić do masowej armii w dawnym stylu. W warukach angielskich w czasie pokoju było to rzeczą niemożliwą. Hasło brzmiało: modernizacja i reforma armii. Hore-Belisha zaczął od góry, od stanowiska szefa sztabu generalnego i jego zastępcy: nie tylko po to, by wprowadzić do sztabu młodsze siły, lecz także po to, by powierzyć kierownictwo nowocześnie myślącym wojskowym, którzyby reformę armii uważali za swoją własną sprawę. Zmiany personalne były wstępem do reformy. Marszałek Sir Cyrill Dederell i jego zastępca generał Kuox musieli ustąpić, na ich miejsca przyszli: generał Gort, (który w 1918 roku kazał atakować linię Hindenburga) i generał Liddell (którego nie należy mylić ze znanym pisarzem wojskowym Liddell-Hart'em). Wojskowa prasa niemiecka naturalnie wzięła za złe, że Hore-Belisha zrefomował armię. Powołała się przy tym dość komicznie na angielskie koła oficerskie.

Nowy minister wojny nie musiał poza tym zaczynać zupełnie od początku, reforma zaczęta już była za Duff Coopera: zamiana kawalerii na lekkie, zmotoryzowane oddziały. Hore-Belisha jednak usystematyzował przebudowę armii, nadał jej jednolite przeznaczenie strategiczne. Cywilista poszedł dalej w dziedzinie reformy armii, niż generałowie. Reforma armii, którą Hore - Belisha ogłosił w Izbie Posłów 10 marca, stanowi podział armii na zmotoryzowane dywizje piechoty, które posiadają maximum broni mechanicznej i na dywizje pancerne, których trzon stanowią tanki. Do tego dochodzi zmiana organizacyjna: skład dywizji zostaje zmniejszony, a liczba ich zwiększona. Oddziały stają się przez to bardziej elastyczne i ruchliwe.

Hore Belisha usunął sprzeczność, jaka dotychczas w Anglii istniała pomiędzy postępową teorią wojenną a konserwatywną strukturą armii.

Chodzi tu o coś więcej, niż o technikę wojenną: w ten sposób tworzy się założenia dla aktywizacji brytyjskiej polityki zewnętrznej. Po ugodzie londyńskiej ententa angielsko-francuska opiera się na podstawach militarnych. Marynarka brytyjska już teraz jest czynnikiem o dużym znaczeniu dla polityki światowej. Lotnictwo brytyjskie ma się stać aktywną siłą, a angielska armia lądowa staje się teraz specyficznym narzędziem interwencji na kontynencie na korzyść sprzymierzonej francuskiej nation armee. Hore Belisha dobrze zrozumiał żądania, postawione strategii przez brytyjską politykę zagraniczną.

J. BLEIBERG

Charakter narodowy Anglikòw

Zagadnienie charakteru narodowego jest żywo dyskutowane w nauce współczesnej, co pozostaje w pewnym związku ze znamiennym dla naszych czasów wzrostem zainteresowania dla wszelkich spraw, związanych z pojęciem narodowości. Ogólną stronę problemu narodowej psychiki referowaliśmy w swoim czasie na łamach „Steru“ w specjalnym artykule (ob. Nr. 45), w którym powoływaliśmy się m. i. na dzieło prof. Barkera „Charakter narodowy i kształtujące go czynniki-National Chracter and the factores in it's formation (Polski przekład Ireny Panenkowej — nakładem „Naszej Księgarni). z pominięciem jednak specyficznie angielskich elementów jego treści, zasługujących na oddzielne omówienie. Mimo bowiem swego założenia ogólno-teoretycznego, zaznaczonego już w tytule książki, została ona napisana z wyraźną myślą o Anglii i Anglikach. Dla uzasadnienia swoich poglądów autor zwraca się prawie wyłącznie do historii Anglii, co daje mu asumpt do apoteozy jej odwiecznego politycznego geniuszu. To właśnie jednostronne „anglocentryczne“ nastawienie Barkera sprawia, iż praca jest ciekawym i orginalnym przyczynkiem, odsłaniającym najistotniejsze cechy angielskiego charakteru narodowego.

Naukową bazą książki agielskiego uczonego jest t. zw. **teoria zmiennych możliwości.** Według tej teorii, świat jest w istocie swojej zespołem różnorodnych, zmiennych w czasie i przestrzeni możliwości, pośród których człowiek dokonywa świadomego, swobodnego wyboru i od których wyzyskania lub zaniedbania zależy jego postęp we wszystkich dziedzinach życia. W odniesieniu do narodu oznacza ona przyznanie mu „prawa inicjatywy“ w tworzeniu materialnych i duchowych podstaw swego bytowania, a więc odrzucenie wszelkiego determinizmu, przesądzającego zgóry jego rozwój w pewnym określonym kierunku. Wychodząc z zasadniczej swej koncepcji, krytykuje Barker zarówno determinizm biologiczny, upatrujący w rasie niezmienny czynnik psychiki narodowej, jak i geograficzny, przypisujący takąż rolę warunkom klimatycznym, ukształtowania powierzchni i t. p. W obu bowiem wypadkach dużą rolę odegrać może twórcza myśl i świadoma swych celów wola narodu. Za pomocą ustaw imigracyjnych lub innych środków polityki eugenicznej może on wpłynąć na mieszaninę rasową, z której się składa (Czystość rasową Barker uważa za fikcję) może również do pewnego stopnia ukształtować, nagiąć do swych celów, właściwości geograficzne swego terytorium.

W geografii Anglii Barker podkreśla jeden tylko czynnik, który wpłynął na życie narodu angielskiego, a przez to także na jego charakteer. Czynnikiem tym jest wyspiarskie położenie Wielkiej Brytanii. Podczas gdy niezabezpieczone przez naturę granice państw kontynentalnych zrodziły przekonanie o potrzebie silnej władzy wykonawczej, wyposażonej w specjalne prerogatywy. w Anglii. otoczonej „obronym rowem morza“ nie stworzono odrębnego systemu prawa administracyjnego dla funkcjonariuszy egzekutywy, którzy odpowiadają przed zwykłymi sądami na mocy prawa ogólnego.

Najciekawszą i najbardziej „angielską“ część książki stanowi rozdział, poświęcony oddziaływaniu prawa i parlamentu na charakter narodowy Anglików. W jednolitym systemie prawa angielskiego (Common law) stosującego te same normy prawne, zarówno do zwykłych obywateli, jak i funkcjonarjuszów administracji i armii, widzi autor najważniejszy przejaw brytyjskiego geniuszu politycznego. Absolutna równość wszystkich wobec prawa, zagwarantowała wolność jednostki i wyrobiła w narodzie **zmysł lojalności.** jednoczący wszystkich poddanych Jego Królewskiej Mości w solidarnym posłuszeństwie dla wspólnego prawa, oraz umłowaniu wolności, „wierzyć bowiem w system praworządności i podporządkować się temu systemowi znaczy zarazem wierzyć w uznanie swoich własnych praw i domagać się zawsze tego uznania“. Zaszczepione przez „Common-Law“ poczucie praworządności zrodziło na gruncie angielskim swoistą i jedyną w swym rodzaju postać postępu, któremu towarzyszy zawsze nawiązywanie do przeszłości, odwoływanie się do precedensów i tradycji, restytucja zapomnianej normy prawnej. Tak pojmowany postęp pozwala triumfować praworządności nawet podczas zmieniania prawa i sprawia, że zmiany są mniej szybkie, ale zato bardziej bezpieczne. **„Nie jesteśmy w stanie posunąć się naprzód, dopóki nie wyczujemy, że zabezpieczyliśmy sobie łączność z przeszłością, że towarzyszy nam i osłania nas widmowa artyleria czcigodnych precedensów“.**

Z ducha prawa angielskiego wyrosła też instytucja parlamentu, który zrazu zajmował się jurysdykcją i potym dopiero przeszedł do pracy ustawodawczej. Historyczna geneza parlamentu wywarła rozstrzygający wpływ na dalszy jego rozwój: nadała jego obradom charakter formalnego procesu sądowego, wprowadziła element rzeczowej dyskusji do stosunku, między walczącą o swe prawa reprezentacją narodu a królem, również związanym prawem, (legibus alligatus). Ciągnąca się przez wieki dyskusja między królem a narodem wytworzyła angielską kulturę palamentarną, która przeniknęła wszystkie dziedziny życia Anglików i nauczyła ich sprawnego i solidarnego działania. Tę też kulturę mają na myśli Francuzi, w swym następującym złośliwym, a jednak pochlebnym dla synów Albionu, aforyzmie: Un Anglais c'est un imbecile, deux Anglais c'est un „match“ trois Anglais c'est une grande nation“ — Jeden Anglik to głupiec, dwaj to mecz, trzej Anglicy to wielki naród.

Dyskusja między królem a parlamentem, „walczącego o wolność raczej w drodze restauracji precedensów z przeszłości, niż rewolucyjnych skoków w przyszłość“ oraz stronnictwami w łonie samego parlamentu, była zawsze praktyczna i zorganizowana, daleka od jałowych teoretycznych sporów, zebrań parlamentarnych kontynentu.

Wieńczył ją zawsze pozytywny i konkretny rezultat w postaci opartego na precedensach kompromisu, który odegrał w dziejach Anglii doniosłą rolę potężnego profilaktycznego środka, chroniącego ją od gwałtownych przemian i wstrząsów. Dyskusja i kompromis tworzą najgłębszy historyczny sens politycznych dziejów Wielkiej Brytanii, są podstawą permanentnej angielskiej praworządności, źródłem jej światowej potęgi. **„Gdy nie zdołaliśmy osiągnąć kompromisu, nie zdołaliśmy też — powiada prof. Barker — osiągnąć powodzenia.**

Tradycja dyskusji i kompromisu oddziałała w sposób niezwykle dobroczynny na angielską psychikę. Z jednej strony utrzymywała ją w stanie ciągłego intelektualnego napięcia, wydobywając z niej możliwie pełną aktywność myśli i woli, z drugiej zaś rozwijała w niej zdolność do wspólnej pracy myślowej, skłonność do umiarkowania, wyrozumienia i pojednawczości, lojalność wobec przeciwnika, wobec którego Anglika obowiązuje zawsze zasada“ „fair play“. Znamienne te cechy angielskiego charakteru narodowego wycisnęły również swe piętno na angielskim ruchu robotniczym, ujętym w ramy organizacyjne trade-unionów i przenikniętym tym samym szacunkiem dla prawa, tą samą skłonnością do kompromisu, która cechuje cały naród angielski. Barker nie zaprzecza istnieniu elementów rewolucyjnych w swym społeczeństwie, nie kwestionuje możliwości „trzeciej“ rewolucji angielskiej, jest jednak przeświadczony, że dokona się ona w parlamencie i w ramach obowiązującego prawa.

Na podstawie analizy literatury angielskiej, której największe arcydzieła dotyczą zagadnień charakterologicznych (Szekspir) i filozofii, hołdującej już w średniowieczu (Roger Bacon 1214-1294), w okresie rozkwitu scholastyki, empiryzmowi, zasadzie budowania wiedzy na konkretnej bazie doświadczenia, Barker dowodzi, iż abstrakcyjne teoretyzowanie i czysta spekulacja obce są wybitnie praktycznej i trzeźwej mentalności Anglika, nastawionego utylitarnie i praktycznie. **„Teoretyzowaniem niewele się wskóra z nami, chyba, że współbrzmi ono z praktycznymi instynktami, którymi wolimy się kierować w działaniu, albo, że aureolą uogólnienia otacza tradycję, do której jesteśmy przywiązani. Lubimy łączyć doświadczenie z tradycją i torować sobie drogę poomacku przy światełku jakiegoś precedensu. Trzymamy się uporczywie własnych politycznych doświadczeń i zwyczajów, lubimy dać im „rosnąć“ choć chcemy, by zostały takie same, i choć nie mamy pretensji do apostolstwa, miłą nam jest hebrajska koncepcja, że jesteśmy wybranym i osobliwym narodem. Wyspiarskie położenie, skombinowane z temperamentem prawniczym, zrobiło z nas praktycznych tradycjonalistów, ślepo przywiązanych do prawniczej mądrości naszego wyspiarskiego doświadczenia“.**

Przytoczone słowa stanowią syntetyczny niejako wniosek pracy Barkera, kwintesencję jego poglądu na angielską psychikę.

Książkę swoją angielski uczony kończy „idealistycznym“ akordem, wyjaśniającym nam genezę jego sympatii dla idei „wybranego narodu“. Okazuje się bowiem, iż jest mu ona, że względów czysto praktycznych potrzebna, jako ideologiczna podstawa teorii misji, którą przypisuje swojemu narodowi. Jej istotę widzi w stworzonym przez Ligę Narodów systemie mandatów, na zasadzie którego naród angielski wziął na siebie z pobudek czysto „idealistycznych“ posłannictwo politycznego pedagoga narodów, niedojrzałych jeszcze do suwerennej państwowości. W taki oto sposób usiłuje Barker stworzyć dla kolonialnej ekspansji Wielkiej Brytanii pozory idealizmu, nadając jej jednocześnie historiozoficzną sankcję dostojnej, czcigodnej dradycji.

Reasumując wywody angielskiego uczonego, wymienić możemy następujące istotne cechy angielskiej psychiki: **1) utylitaryzm 2) praktyczny tradycjonalizm, nie dogmatyzujący tradycji, lecz naginający ją do aktualnych zadań i potrzeb 3) poczucie praworządności 4) lojalizm 5) zmysł inicjatywy 6) zdolność do rzeczowego, beznamiętnego traktowania zagadnień życia społecznego 7) umiłowane wolności 8) skłonność do umiarkowania i pojednawczości 9) wysoko rozwinięte poczucie odpowiedzialności społecznej 10) wiara w przekształcającą potęgę ludzkiej woli.**

RUSTAN

Grafomania na usługach rasizmu

Redakcja „Prosto z mostu“, która we wszystkim chce dorównać „Wiadomościom Literackim“, urządziła konkurs literacki z nagrodami dla najwybitniejszych swoich pisarzy. Napocili się biedacy, bo gdy przyszło do rozstrzygnięcia, jeszcze raz okazało się, że na lekarstwo nie ma nie tylko spośród kogo wybierać, ale i do jury pan Piasecki nie potrafił dobrać sobie żadnej figury literackiej i rad nierad musiał je skompletować wyłącznie z grona swych młodych współpracowników, których jedyną kwalifikacją jest radykalno narodowe oblicze. Talentów w ich obozie nie ma, wiadomo, ale krzykaczy, warchołów i trefnisiów dosyć, więc pan Gałczyński, były poeta i były literat, za podżeganie do rzezi i mordu w osławionym wierszu „Noc długich noży“ laurowany i wywindowany na czoło oenerowskiego Parnasu, doczekał się nagrody „Prosto z mostu“. Ale przy tej sposobności zwróciła uwagę kandydatura do nagrody literackiej książka jakiejś **Agnieszki Osieckiej** p. t. **„Krzyż na piaskach“**

Zainteresowawszy się symptomatycznym poleceniem „Prosto z mostu“ zadaliśmy sobie trudu przeczytania tej powieści do końca i łatwo znaleźliśmy odpowiedź, dlaczego taka łaska spadła na nieznane i nic nikomu nie mówiące nazwisko. Rozwiązanie zagadki jasne: Osiecka demaskuje „miazmaty“ żydostwa i jego „destruktywny“ wpływ na literaturę polską, które te brudne żydy zatruwają pacyfizmem, ateizmem, urbanizmem, seksualizmem, kosmopolityzmem i rewolucjonizmem. A jakże! Ta stara piosenka ze znanymi rekwizytami doczekała się „dzieła sztuki“, „powieści“, która idąc zgodnie z modnymi prądami „rozwiązuje“ aktualne zagadnienia. Nic dziwnego, że spotkała się z uznaniem w sferach oenerowskich, bo tu cała demagogia gazeciarska została wpleciona w wątek powieściowy. Osiecka ma zmysł aktualności i odczucie tego co „chyci“; niezawodnie zrobi karierę.

Treść powieści jest bardzo nieskomplikowana: Bohaterka Maria, ziemianka i poetka oddana jest cała swej ziemi, przyrodzie, dworkowi, wrzosom i wydmom piaszczystym, na których samotnie stoi krzyż. Stan kontemplacji religijnej i związki uczuciowe, łączące ją z przyrodą ojczystą i ojcowską, są źródłem natchnienia poetyckiego Marii, która pisze wiersze sielskie, sentymentalne, naiwne i... złe. Tę sielankę zakłóciła brutalnie miłość żyda, znakomitego poety z Warszawy, który porwał ją swoimi zmysłami i zniszczył wszelkie dotychczasowe ideay. Co było w dalszym ciągu, można się już łatwo domyśleć. „Natychmiast, pierwszym wrażeniem, dostrzegłam rasę“ (podkreślenie moje) „To, że on jest żyd, wyłącza między nami wszelką inną możliwość poza podaniem sobie rąk dwojga samotnych poetów“. Ale mimo wszystko było coś jeszcze poza podaniem rąk dwojga samotnych poetów, bo w końcu poślubiła ta dziwna ziemienka żyda i z całą żarliwością pokochała go.

Po wielu walkach i rozczarowaniach opuściła go i wróciła do swych lip i skowronków, piasków i... redakcji narodowego pisma oraz odbyła pokutę religijną w celu otrzymania rozgrzeszenia za „Rassenschande“.

Drogi, którymi kroczyło jej poznanie i oczyszczenie, utorowali świątli prekursorzy narodowi, którzy już dawno tymi samymi argumentami operowali. A więc drażniły tę panienkę, wyhodowaną dosłownie według wzorów Mniszkówny i Zarzyckiej, reakcje jej kochanka na zapachy lipy i śpiew skowronka, na ciszę lasów i samotność piasków. Ten lichy i spartaczony plagiat „Trędowatej,“ jest po prostu przeciętnym typem ograniczonej gąski, która cały świat mierzy skalą swych przeżyć i nie umie odczuć nic poza sferą swych doznań. Rzecz prosta, że taki żyd, który mieszka w mieście, nie potrafi docenić jej świętych ideałów, bo (i tu zaczyna się stara piosenka) jest materialistą, niedowiarkiem, zwolennikiem życia kawiarnianego i dancingowego (kto chodzi do kawiarni—to żyd, kto pisze wiersze do teatrzyków rewiowych-to żyd, kto opiewa namiętność-to żyd, kto nie chce wojny-żyd, wiadomo, wiadomo). żyd to brutalny, obleśny, gruboskórny, nahalny, element, który zatruwa miazmatami całą atmosferę.

Do tego rodzaju argumentacji zdążyliśmy się już przyzwyczaić, bo znamy dobrze cały ten lichy arsenał rasistowskich bojowników, którzy do znudzenia powtarzają te łatwe i głupie argumenty. Ale — jeśli już zwracamy uwagę na tę powieść chodzi tu o stwierdzenie innego zjawiska. Publicystyka ma inne cele i inny zasięg. Powieść natomiast jako dzieło sztuki, jeśli jest pisane z talentem, może posiadać dar przekonywania i wzruszenia nawet wtedy, gdy opiera się na zupełnie fałszywych przesłankach, które zupełnie czytelnikowi nie odpowiadają. Otóż o ten talent chodzi! Osiecka nie posiada go ani trochę, jest wyprana chemicznie z wszelkich zdolności pisarskich, a jej „poezje“ — horribile dictu! to tak ponura makabreska, że czytelnikowi odechciewa się raz na zawsze czytania wierszy. Nawet największe kalumnie i insynuacje, obrazę i zniewagę można spokojnie ocenić, jeśli paszkwil psany jest na poziomie, który wymusza poważanie i uznanie.

Wypłynąwszy na mętnych falach płytkiego rasizmu Osiecka steruje pewną rękę ku dobrej koniunkturze. Obóz przyjmuje ją z otwartymi rękoma, bo nareszcie paszkwil na żydów i apoteoza rasizmu, a że ten rasizm posługuje się najmarniejszą tandetą grafomańską — o to mniejsza, przecież w polityce ani obiektywizm ani prawdziwy talent nic nie ważą. W dzisiejszej dżungli literackiej takie koniunkturalne chwyty mają powodzenie, bo tego rodzaju wypocinami poetyckimi posługują się politycy dla celów pozaartystycznych i pozaliterackich i dla tych celów polują pisarzy na giełdzie literackiej.

Gdyby się chciało zadać trochę trudu, łatwo możnaby snuć przypuszczenia na temat psychologicznych źródeł urazu Osieckiej. Możnaby na upartego udowodnić, że ta cała megalomania bohaterki, ze wzniosłością i wzgardą patrzącej się na żyda, ma w sobie coś z kompleksu niższości. że jej całe nastawienie ideowe to tylko chęć niskiego odegrania się, zemszczenia się ze strony zdradzonej czy wzgardzonej kochanki. że musi być wiele, bardzo wiele momentu autobiograficznego w całej powieści, co również jest wymowne. Ale to wszystko jest nieistotne, gdyż takiej satysfakcji nie szukamy. Satysfakcją może być tylko przeświadczenie, że autorka wbrew swym intencjom pozwala nam domyślać się, że znienawidzona przez nią i wzgardzona rasa mimo wszystko jej imponuje.

Dr. M PAPIERMAN

Wśród książek

Odwieczna walka, jaka się toczy między jednostką a społeczeństwem jest ogólnym tematem różnych teorii socjologicznych, głoszonych na długiej przestrzeni dziejów cywilizacji ludzkiej. Jak w każdej innej walce tak i tu socjologowie bronią jednej lub drugiej strony, starając się uzasadnić w swych dziełach swój punkt widzenia. Ich teorie wywierały i wywierają ciągle wpływ na kształtowanie się życia społecznego i politycznego, jeśli przytoczymy choćby takiego Macchiawelego, Locke'a, Rousseau'a, Montesquieu'ego, Marksa. Prócz tych przedstawicieli różnych kierunków socjalnych mamy cały szereg teoretyków współczesnych, wysuwających różne koncepcje na temat stosunku jednostki do społeczeństwa i odwrotnie. Ciekawą taką koncepcję rozwija w swej rozprawie autor kilku książek z zakresu socjologii nowoczesnej Mikołaj Dąbrowski. **(Mikołaj Dąbrowski—Ramsay: „W obronie człowieka i demokracji pracy“. Warszawa. F. Hoesick.).** Autor poddaje krytyce dotychczasowy ustrój liberalny, który będąc wynikiem zdobyczy wolnościowych w 19 wieku, realizuje w istocie jedynie wolność polityczną, pozostawiając masy w zależności ekonomicznej od pracodawców i chlebodawców. To też daje się odczuwać dziś powszechne dążenie do wolności pracy, przez zrealizowanie hasła demokracji pracy. Autor wysuwa postulat uspołecznienia życia ekonomicznego przez państwo z pozostawieniem człowiekowi prawa własności. Autorowi chodzi przede wszystkim o uniemożliwienie wyzysku człowieka pracy przez właściciela placówki pracy. Pracownik zyskałby wówczas o tyle, że zamieniłby swą zależność od pracodawcy na zależność od państwa, co w państwie demokratycznym wyszłoby tylko na jego korzyść. Autor niema na myśli etatyzmu, jeno na szeroką skalę zakrojoną opiekę społeczną stosowaną przez państwo wobec człowieka pracy, celem podniesienia jego stopy życiowej i zabezpieczenia go przed wyzyskiem pracodawcy.

Ten sam autor w innym dziele **(M. Dąbrowski—Ramsay: „W poszukiwaniu sprawiedliwości“. Warszawa. F. Hoesick.)** porusza problem wolności ekonomicznej i politycznej w poszczególnych państwach podminowanej Europy powojennej, w których wszelkie poczucie sprawiedliwości społecznej ustępuje w corazto szybszym tempie przed siłą. Odmawia się człowiekowi wszelkiej godności ludzkiej, traktując go tylko jako środek do osiągnięcia celów, zapomina się o tym, iż z tytułu przynależnści do społeczeństwa nie wolno człowieka pozbawiać jego praw, odmówić mu autonomii moralnej, samostanowienia, gdyż organizm społeczny, w skład którego wchodzą jednostki pozbawione godności, nie może być społeczeństwem w pełnym tego słowa znaczeniu, jest raczej zorganizowanym niewolnictwem. Autor kreśli bardzo trafnie charakterystykę dwóch kultur germańskich wywierających decydujący wpływ na życie duchowe współczesnej Europy. Pierwszą anglosaską nazywa autor „kulturą cywilną“, drugą niemiecką „kulturą militarną“. Podczas gdy Anglik ceni nade wszystko wolność i żąda poszanowania swej godności osobistej, Niemiec, nie mający ani wyrobiena politycznego, ani też umiłowania niezależności, ma wysoko wyrobiony instynkt posłuszeństwa, „lubi czuć się szeregowcem, brać udział w ruchach rytmiczych i czynnościach automatycznych“. Autor jest optymistą i wierzy niezachwianie w narodziny nowej kultury, kultury solidarymu, altruizmu i dobra powszechnego, która przyczyni się niewątpliwie do przywrócenia utraconej godności jednostce ludzkiej.

O obecnej wadliwej konstrukcji ustroju społecznego w Polsce wiele się mówi. Socjologowie i historycy, prawnicy i politycy zabierają coraz częściej głos na łamach różnych czasopism wysuwając liczne projekty względnie teorie, zdążające do naprawy i przystosowania ustroju społecznego do nowych wymogów życiowych. Wśród tych wszystkich głosów nie brak też i oryginalnych pomysłów. Taką oryginalną teorię wyłuszcza w swej książce Adolf Tokarski. **(Adolf Tokarski: „Kryzys ustroju społecznego i środki zaradcze“. Warszawa. F. Hoesick.).** Autor jest zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich ekstremów społecznych i politycznych, potępia zarówno faszyzm jak i komunizm, wypowiada się również przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu, który będąc środkiem dla zaspokojenia interesów jednostki, nie może służyć jednocześnie dla zaspokojenia wręcz przeciwnego interesu ogółu. Uważa, iż celem ustroju społecznego obecnie powinno być przede wszystkim zabezpieczenie interesu społecznego, jeśli zaś chodzi o interesy indywidualne każdego obywatela, to należy je zabezpieczyć aż do granic, kiedy nie zagrażają interesom społecznym. Ustrój taki winien zabezpieczyć wszystkim obywatelom pracę, opartą na prywatnej inicjatywie jako gwarancji większej jej wydajności. Doskonały ustrój społeczny musi bowiem uwzględnić naturalne skłonności człowieka jakimi są egoizm i umłowanie wolności i pozostawić człowiekowi prawo inicjatywy i własności prywatnej. W przeciwnym razie stwarza zjawisko z jakim mamy obecnie do czynienia w Rosji Sowieckiej. Z przebudową ustroju społecznego łączy autor przebudowę ustroju gospodarczego i politycznego, proponując w zakresie gospodarczym upaństwowienie handlu hurtownego, zaś w polityce stworzenie parlamentu na wzór angielskiego, gdzie trzy wielkie partie jako przedstawicielki trzech odłamów społeczeństwa, prawicowego, postępowego i lewicowego rozstrzygałyby o losach państwa. Śmiałe zaiste projekty, aczkolwiek nie nowe, lecz wykonanie jakże trudne!

ANTENA ŚWIATA

Nigdy mu tego nie zapomną...

Skończyły się piękne dni pobytu w Rzymie. I aczkolwiek prasa niemiecka grzmi na cały świat opowieściami o niesłychanie podobno serdecznym nastroju, o tak bardzo ważnym zbrataniu się i zbliżeniu zaprzyjaźnionych narodów, warto zainteresować się jak istotnie wyglądało to „zbratanie" się i ten „serdeczny nastrój".

Na przywitanie Hitlera stawiły się w Rzymie rzeczywiście tłumy nieprzebrane. I nic w tym dziwnego: we Włoszech zawsze zjawiają się miliony ludzi na każde wezwanie Mussoliniego, zresztą iluminacja Colosseum była czymś tak cudonym, że żaden Włoch nie mógł sobie odmówić przyjemności podziwiania tego cudownego spektaklu.

Stawiły się, więc, tłumy i wiwatowały, ale... na cześć swego króla i swego wodza. Niejednokrotnie musiał Mussolini wskazać dyskretnym ruchem siedzącego obok siebie kanclerza. W odpowiedzi rozlegały się okrzyki: „Hitler! Hitler", które po chwili jednak milkły.

Ciekawy incydent rozegrał się na balkonie, na którym ukazali się król, Mussolini i wielce dostojny gość. Na ich widok tłum zawył z radości, ale w tym okrzyku, wydobywającym się z piersi setek tysięcy ludzi, wcale nie było słychać nazwiska kanclerza. Fuhrer poczuł się tym tak bardzo dotknięty, że nawet cofnął się z balkonu i dopiero Duce zagrodził mu drogę i przemocą wepchnął na balkon. Na niecierpliwy i władczy gest dyktatora tłum wreszcie zaczął wołać: „Eviva Hitler!"

Oczywiście, że scen takich i tym podobnych rozegrało się w czasie wizyty niemieckiej całe mnóstwo.

Delegacja niemiecka zachowała się w czasie wizyty z właściwą sobie sztywnością i nieprzystępnością, odgradzając się od wszystkich barierą przepisów etykietalnych i prawdziwie chińskich eremonii. Dzięki temu właśnie nie udało im się w najmniejszym stopniu zdobyć sympatii ludu włoskiego. W czasie całego pobytu ani razu nie spotkano Niemców na włoskiej ziemi uśmiechem, ani idącymi z serca wiwatami — do których żywi i impulsywni Włosi są przecież tak bardzo skłonni.

„Widziałem Pierwszą Rzeszę..."

Wielkie znaczenie również miał fakt wyjazdu Papieża i jego słynne, aczkolwiek krótkie, oświadczenie. Włosi bardzo szanują i kochają Papieża. A Papież, na zapytanie jednego z kardynałów czy przyjmie Führera miał podobno, jak podaje Louis Gillet, korespondent „Paris-Soir", odpowiedzieć: „Jestem dość stary. Widziałem w swej młodości pierwszą Rzeszę z Bismarckiem i później jego upadek. Widziałem drugą Rzeszę z tym cesarzem, którego Niemcy uważały za bożyszcze, i widziałem jego z kolei upadek. Teraz widzę powstającą Trzecią Rzeszę..."

Następca Roosevelta

Aczkolwiek do r. 1940. dzieli nas jeszcze dwa lata prasa amerykańska przepełniona już jest dzisiaj biografiami, opisami, charakterystykami itp. przyszłych kandydatów na prezydenta U S. A. W powodzi dosyć często ciekawych postaci, znajduje się m. in. i jedna niewiasta, była wybitna współpracowniczka Roosevelta, sławna dziennikarka, żona Sinclaira. Zainteresujemy się naprzód postacią Filipa La Folette, uchodzącego w U. S. A. za mistrza autoreklamy.

Mr. La Folette czyli popularnie zwany „sympatyczny Fil" jest twórcą nowej partii demokratyczno - mieszczańskiej, zerkającej filuternie ku drobnemu ziemiaństwu.

W obecnej chwili piastuje on godność gubernatora stanu Wisconsin. Ale temu świetnemu mówcy i organizatorowi nie wystarcza władza gubernatorska, ma on większe ambicje, można prawie rzec, że... dyktatorskie. Jako leader dosyć poważnej partii politycznej ma La Folette podobno i swój program. Chce on być bardziej jeszcze społecznie radykalny, aniżeli Roosevelt, chce zreformować życie społeczne, ale jak — tego narazie nie mówi. Jedno jest w jego programie jasne, że jest gorącym zwolennikiem nie mieszania się U. S. A. do spraw europejskich; co to kogo obchodzi co się w tej starej, zmęczonej, przeżytej Europie dzieje..

Partia jego t. zw. liberalnych postępowców jest dzisiaj w Ameryce niezmiernie popularna, do jej zwolenników m. in. zalicza się La Guardia, burmistrz New-Jorku.

Szary tłum zdobywa La Folette oczywiście nie swoim programem, nie bardzo wyraźnym, ale swoją wybitną sztuką reklamarską.

Gdy niedawno producenci żyta i pszenicy odczuwali wyraźnie kryzys, La Folette wsiadł w auto i, jeżdżąc po całej Ameryce, nawoływał do zwiększenia konsumcji chleba i bulek. W ten sposób zdobył wieś.

Ale tylko wieś — to za mało dla pana gubernatora, trzeba również zdobyć i miasto. I na to znalazła się rada. Mr. La Folette wsiadł znowuż do auta i jeżdżąc po wsiach nawoływał wieśniaków do kupowania obuwia, które się masowo produkuje w fabrykach stanu Wisconsin.

Oczywiście, że prócz chłopów, rzemieślników, robotników i fabrykantów są i inne warstwy społeczne. I o nich nie zapomniał Mr. La Folette. Jako człowiek wykształcony, (dr filozofii), napisał rozprawę o dialogach Platona, która zyskała mu sympatię i popularność w świecie uczonych. Słowem La Folette jest popularny, ma wielu przyjaciół i jeszcze więcej... wrogów.

Pan gubernator narazie nie zwraca uwagi ani na jednych ani na drugich, gromadzi pieniądze, uprawia propagandę reklamową i szykuje się do walki, która ma się rozegrać przy najbliższych wyborach w 1940 roku

(L—y)

Teatr

TEATR MAŁY: „Asmodeusz" sztuka współczesna w 5. obrazach Franciszka Mauriaca przekład Kazimierza Wierzyńskiego.

Gdym wychodził z teatru, byłem świadkiem ożywionej dyskusji o sztuce. Publiczność rozprawiała o niej żywo. Dowodzi to, że sztuka pobudza do myślenia zmusza do komentarzy, co świadczy, że autor w swoim debiucie scenicznym („Asmodeusz" jest pierwszą sztuką teatralną Mauriaca) nie poszedł po linii najmniejszego oporu, jaką stanowią nigdy nie zawodzące efekty sceniczne i sytuacyjne napięcia. Takie ułatwianie sobie zadania nie leżałoby zresztą w naturze tego pisarza, który w swoich powieściach wykazał tyle samorodnej orginalności, tak pod względem tematyki jak i pod względem formy. Ale autor widocznie nie obeznany jeszcze z warsztatem scenicznej pracy, nie zdawał sobie sprawy, że sztuka rządzi się swoimi własnymi prawami, że sama ważka problematyka i oryginalne, z pewnego określonego aspektu na świat i ludzi, psychologiczne naświetlenie bohaterów, nie może jeszcze zapewnić sztuce powodzenia na scenie. Mauriac, który należy do czołowych beletrystów francuskich obecnej doby okazał się nie tęgim dramaturgiem.

Te same sentencje i te same sondy zapuszczone w dusze bohaterów dobrze skomponowanej powieści, okażą się tylko „koketowaniem głębokości" w kiepsko zmontowanej sztuce teatralnej.

W powieściach Mauriaca dominują dwa momenty: głęboka wiara i miłość. Pierwsza działa kojąco, druga trzyma w swym okrutnym władztwie człowieka, powodując stały niepokój i bunt. U Mauriaca Bóg i Natura to nie jedno i to samo. Panteizm, wyrażający się w pojęciu: Deus est Natura obcy jest światopoglądowi Mauriaca i stąd bierze się ta wieczna walka, jaką u Mauriaca stacza element boski w człowieku z tkwiącym w nim dzikim instynktem natury.

I w „Asmodeuszu" ten rozdźwięk między Bogiem a naturą w człowieku stanowi motyw przewodni sztuki. I tutaj miłość nie opromienia życia bohaterów, ale jak zmora ciąży na całym domu matrony Marceliny Barthas, przytłaczając swoim złowrogim ciężarem wszystko, co radosne. Jakaś ciężka i duszna atmosfera erotyczna panuje na tej wsi francuskiej w domu Marceliny Barthas. Tu nie promienny panuje Eros, ale szatan miłości — Asmodeusz wyprawia swoje złowrogie harce. Ten zły duch Asmodeusza obrał sobie za siedlisko duszę Błażeja Couture'a, wychowawcy w domu pani Marceliny. Jest to postać, o mocno zagadkowym obliczu duchowym. Postać ta stanowiąca spiritus movens całej sztuki jest dla publiczności nie do rozwiązania zagadką psychologiczną. Głowiłem się przez cały czas trwana akcji nad rozwiązaniem tej zagadki, łudząc się, niestety napróżno, że w jej epilogu znajdę wyjaśnienie. Błażej Couturs pozostał sfinksem a jest to, uważam, kardynalnym błędem w kompozycji sztuki. W sztuce teatralnej każda zawisłość psychologiczna musi z biegiem akcji coraz bardziej się rozjaśniać. Jego miłość do leciwej Marceliny Barthas jest od początku do końca otoczona tajemnicą jakichś dziwnych niedomówień. Błażej Couture przedstawia sobą typ patologiczny, co, sądząc z atmosfery sztuki, nie leżało w intencji autora. Dziwną i jakąś nienaturalną wydaje się także ta rywalizacja między matką Marceliną a córką Emanuelą o względy młodego chłopca Fanninga.

Nie wiemy także dlaczego Błażej Couture wzgardził Mademoiselle, by prześladować swoim uczuciem Marcelinę. Autor nie daje nam na to wszystko żadnych psychologicznych danych, nie daje nam żadnego punktu oparcia o który by można było zaczepić ten cały splot kolizji w tej bądzcobądz niecodziennej intrydze.

Maria Przybyłko Potocka jako Marcelina, mimo całego swego kunsztu aktorskiego, nie była w stanie wskrzesić martwej roli, Jadwiga Kurykułówna jako Emanuela była tym jasnym promieniem w panującym dookoła ciemnym labiryncie typów i sytuacji. Maria Żabczyńska w roli Mademoiselle ujmowała naturalną i szczerą grą. Szczególna pochwała należy się Boneckiemu za kreację Błażeja Courturea. Był [illegible] w mimice i budził niesamowite uczucie swoją postacią.

Reszta zespołu grała bez zarzutu.

Reżyseria Przybyłko Potockiej. Dekoracje Śliwińskiego.

J. LESER

Pod urokiem barwy

Wystawa Feliksa Frydmana w Żyd. Tow. Krzewienia Sztuki

Prawie trzy ćwierci wieku upływa od chwili, gdy Paryż zagarnął dla siebie zaszczytne miano wielkiej metropolii sztuki, i dzierży je po dzień dzisiejszy. Do tej „Mekki malarzy" pielgrzymują artyści ze wszystkich prawie krajów europejskich i poza europejskich, by zaczerpnąć świeżego oddechu twórczego i napawać się w pełni zdobyczami malarzy francuskich, którzy w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia zburzyli Bastylię utartych poglądów na istotę i cel twórczości malarskiej. Trudna i żmudna jest droga każdej nowej orginalnej idei, gdyż natrafa na opór opinii publicznej, zaskorupiałej w tradycji. Masy bowiem lubią rzeczy, które już widziały i znają, wszelkie nowatorstwo jest dla nich obce i niedostępne i dlatego wrogie. To też wystąpienie pierwszych impresjonistów stało się istną rewolucją i przyjęte zostało burzą protestów, nagrywań i złorzeczeń ze strony publiczności, która znalazła się nagle wobec dzieł dziwnych, bo niezrozumiałych, niepodobnych do tych do jakich była przywykła. Publiczność ówczesną, wychowaną na patetycznych obrazach historycznych, przyzwyczajoną do anegdotyczności w obrazach, do „czytania" dzieł sztuki jako malowanych opowiadań, oburzyło przede wszystkim wprowadzanie do „świątyni" sztuki widzialnej i realnej rzeczywistości dnia powszedniego. Poza tym śmieszne i dziwaczne zdało jej się ujmowanie rzeczy świata zewnętrznego wyłącznie z punktu widzenia światła i barwy. Wszystkie bowiem przedmioty i postaci ludzkie straciły nagle swą barwę lokalną,



Feliks Frydman Akt

konturowość i bryłowatość, słowem podobieństwo i poczęły odgrywać rolę barwnych plam, roztopionych w barwnej, słonecznej atmosferze. Świat stał się mozaiką plam i plamek, jakimś rozpasaniem kolorystycznym „chorej wyobraźni".

Z czasem jednak credo impresjonistów: „maluję nie to, co wiem o przedmiocie, ale tak, jak go widzę", — powoli zaczyna przemawiać do konsumentów sztuki. Oswajanie się z impresjonistycznym, czyli wrażeniowym, subiektywnym i malarskim spojrzeniem na świat postępuje naprzód.



Feliks Frydman Martwa Natura

Zagadnienia czysto malarskie zyskują sobie prawo obywatelstwa w sztuce i dziś żaden obraz nie da się pomyśleć bez uwzględnienia zasadniczych zdobyczy kolorystycznych impresjonistów francuskich ubiegłego wieku. Mimo to jednak prawdziwy i szczery artysta staje i dziś bezradny wobec ignorancji i braku zrozumienia szerszej publiczności. Wystawy roją się do osób, które przystępują do dzieła malarskiego z nastawieniem doszukiwania się w nim anegdoty czy podobieństwa, a nie chcących zadawać sobie trudu przenikania właściwych intencji artysty i przeżywania wraz z nim jego artystycznej wizji świata.

Prace **Feliksa Frydmana** wystawione obecnie w żyd. Tow. Krzew. Sztuki, należą właśnie do tej kategorii „niezrozumiałych", czyli... zasługujących na poznanie i wysoce wartościowych. Feliks Frydman studiował w Paryżu, bo jakże mogło być inaczej, i nauczył się dużo u twórców impresjonizmu, lecz zarażony modnym kubizmem wrócił do kraju, wystawiając w roku 1929 w Żyd. Tow. Krzew. Sztuki dzieła dalekie od swoich właściwych odczuwań. Po przebyciu „odry" kubistyczno-eksperymentalnej wrócił do wielkiej koncepcji impresjonizmu, ukochał tworzywo malarskie — barwę i zapamiętał się w niej. Dziewięć lat pracował artysta nad przygotowaniem obecnej wystawy i zawarł w niej wszystko, co dotychczas osiągnął a osiągnął dużo. Czterdzieści obrazów, a każdy obraz to odrębne zagadnienie kolorystyczne i kompozycyjne, postawione i rozwiązane. Operując gamami: zieloną, czerwoną, niebieską i złotą uzyskuje Frydman świetne harmonie barwne, w których trudno doszukać się dysonansu. Doskonałe są zwłaszcza kwiaty (bukiety), które dają duże pole do popisów kolorystycznych i „martwe natury", skąpane w pyle barwnym, niezwykle interesujące w kompozycji. Barwa na wystawie święci prawdziwe tryumfy. Trudno się oprzeć czarowi obrazów Frydmana, gdyż mają w sobie coś niepokojącego, przeziera przez nie psychika artysty, dla której pragnie znaleźć kolorystyczny wyraz. Jego plamy barwne sprawiają wrażenie żywych komórek, tworzących żywy organizm obrazu. Jak to zresztą sam malarz określa trafnie słowami: **„dążę do symbiozy, do współżycia barw"**. Ta pasja ekspresjonistyczna barwy zbliża Frydmana do twórczości genialnych secesjonistów francuskich Van Gogha i Matisse'a. Barwa jak to się często dzieje, nie ukrywa u naszego artysty braków rysunku, albowiem Feliks Frydman i w nim niezgorzej się przedstawia... Kilkanaście świetnych rysunków aktu kobiecego świadczą o wysokiej klasie graficznej artysty.

Feliks Frydman to chyba najpojętniejszy na naszym gruncie uczeń mistrzów impresjonizmu, prezentujący poziom naprawdę europejski. Utalentowany ten artysta jest malarzem nawskroś, znajdującym się w stadium intensywnej pracy nad sobą. Żyje bowiem całkowicie swą twórczością, a zdając sobie sprawę ze swych niedociągnięć dąży stale ku udoskonaleniu swego kunsztu, swojej techniki, której opanowanie uważa za najistotniejszy postulat prawdziwego twórcy.

Sztuką Feliksa Frydmana, stojącą na prawdziwie europejskim poziomie, winny się zainteresować szerokie warstwy naszego społeczeństwa. Musimy się nauczyć rozumieć, że ślepe naśladownictwo natury nie jest sztuką, co najwyżej barwną fotografią, że sam temat żydowski, utożsamiony przeważnie z kapotą czy jarmułką, dla których nasi mecenasi sztuki, tak bardzo dalecy od „modlących się żydów", żywią jakiś dziwny sentyment, nie stanowią o wartości prawdziwego dzieła.

F. KASTENBAUM

Ceny ogłoszeń. za m/m za tekstem 80 groszy., w tekście 1 zł Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł.; półrocznie 6 zł.

Redaktor Dr. M. KLEINBAUM Składano „Wukagraf" Solna 17 Tel. 11-63-24 Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. Druk. „GRAFIA" W-wa. Nowolipki 7. Red. odp.: A KLARMAN